

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 24 (37)

WARSZAWA

SOBOTA

16-VI-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ANNA
WÓJCICKA

WIECZOREK POŻEGNALNY FRYDERYKA CHOPINA

TREŚĆ:

ALEKSANDER BŁOK
SCYTOWIE

I INNE WIERSZE

W PRZEKŁADACH

J. CZECHOWICZA

I J. ŁOBODOWSKIEGO

JAN DÜRER

DZIENNIK

PODRÓŻY

WYSPIAŃSKIEGO

TEODOR SEIDLER

NA DROGACH DO

NOWYCH FORM

USTROJOWYCH

KAROL IRZYKOWSKI

O SWOISTĄ

MORALNOŚĆ

LITERACKĄ

WŁADYSŁAW STUDNICKI

O HISTORJĘ

NIEDAWNEJ

PRZESZŁOŚCI

JAN MUSZKOWSKI

JAK PISAŁBYM

RECENZJĘ KATALOGU

INFORMACYJNEGO

PORADNI BIBLIOTECZNEJ

J. E. SKIWSKI

DYSKUSJE

ANNA WÓJCICKA

WIECZOREK

POŻEGNALNY

FR. CHOPINA

Pośród cennych rękopisów, ofiarowanych przez p. Kazimierza Wójcickiego do zbiorów „Biblioteki Narodowej” niemałą wartość dla badaczy artystycznej kultury Warszawy w latach 1820—1864, przedstawiają „Wspomnienia” Anny z Magnuszowskich Wójcickiej, żony zasłużonego historyka, etnografa i literata, K. Wł. Wójcickiego, a siostry utalentowanego dramaturga, Dominika Magnuszowskiego.

Autorka wspomnień urodzona w 1814 r. wychowywała się z siostrą Klarą i braćmi, Dominikiem i Józefem w Warszawie, u dziadka, Dominika Borakowskiego, emerytowanego sędziego Najwyższej Instancji Królestwa Polskiego. Borakowski, rzeźki staruszek, prowadził dom otwarty. Często odwiedzali go wybitni przedstawiciele palestry warszawskiej, „starzy konusowcy” m. i.: sędzia Plichta, mecenas Ziemięcki i rejent Chądzyński. Była też młodzież: rówieśnicy i rówieśniczki Magnuszowskich. To też nieraz bywało wesoło i gwarno w mieszkaniu dziadunia, vis a vis figury Matki Boskiej, na Krakowskim Przedmieściu. Autorka „Wspomnień” kreśli niejeden miły obrazek z tych czasów, kiedy w dniu imienin pana sędziego albo z okazji innych domowych uroczystości, zaczęli młodzi po obiedzie tańczyć. W zabawach tych uczestniczył bardzo często kolega D. Magnuszowskiego — Fryderyk Chopin... Lecz oddajmy głos autorce ciekawego pamiętnika.

Przemysław Mączewski.

...Wtenczas z piwnicy wydostawano kilka butelek wina na ochłodę tańczących, a babunia w pokoju brata ustawiała zimną pieczeń, resztki pasztetu z objadu i tort. Po tak sutej uczcie następowały tańce. Jedni z zaproszonych kawalerów grali na fortepianie, drudzy tańczyli i na zmianę, ci co wprawdzie grali — tańczyli, a tańczący grali. Ochota była nieklamana. Wtenczas niewielką liczbą szczylicyśmy się kawalerów, bo i nas panien do tańca było niewiele.

Zwykle naszymi kawalerami byli: Chopin, Fontana, Gaszyński, Leon Łubieński, Kirkor, Ulrych, Reinschmidt, Krzysztofowicz, Mokronowski i Zygmunt Krasieński. Żeby rozpocząć naszą zabawę, zwykle zasiadał pierwszy do fortepianu Chopin, wówczas średniego wzrostu, szczupły, bardzo wesoły. Zanim jednak zabraliśmy się do tańca, ogólną gorącą prośbą całego grona było, aby coś zaimprovizował. Nie wymawiał się wcale, wprawdzie jednak zwracał się do mej starszej siostry, Klary, która miała głos bardzo ładny, i prosił, aby mu zaśpiewała jaką piosenkę, a wtenczas i nie jedna minęła godzina, zanim wśród ciszy zasłuchani w porywającą nasze młode dusze muzykę — mogliśmy rozpocząć tańce. Wtenczas improwizator-marzyciel zamieniał się w obojętnego grajka, fortepian grzmiał i śpiewał najrozmaitsze mazury, walce i polki, dopóki zmęczonego i zaproszonego do tańca, nie zastąpił skromny zastępca, grający biegle i ładnie — Fontana.

Jedenasta uderzała na wielkim szafkowym zegarze w przyległym pokoju. Skończona zabawa — rozchodzimy się wszyscy, zegnając słowami: „dziękujemy, do zobaczenia!” a w głowie dźwięczą melodie słyszane i gwar głosów młodych, przyjaznych i szczyrych.



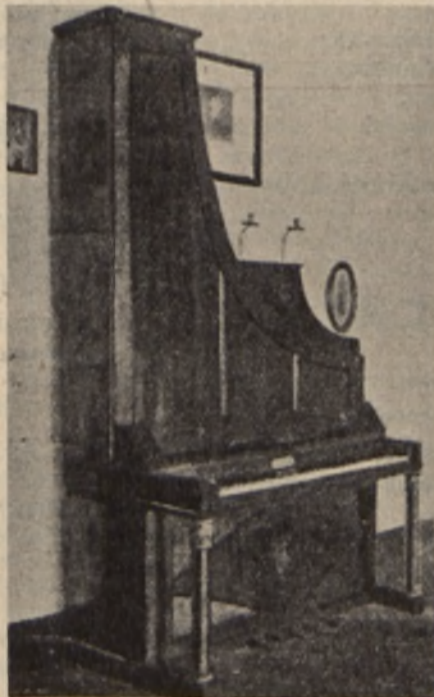
FRYDERYK CHOPIN Litografia współczesna

O słodkie chwile młodości, szczęścia, marzeń i nadziei — niepowrotne i niezapomniane!

Do wspomnień o Chopinie dodać muszę tu opowiadanie szwagra mego^{*)}, kolegi Chopina i brata mego, Dominika z liceum, a następnie przyjaciela ich obu, spisane przez niego i mnie ofiarowane na pamiętkę. Wiele w niem ciekawych szczegółów, może mało znanych.

„Rok 1823. Kiedy ś. p. ojciec mój przeznaczony został w Kaliszu do Komisji Wydziału Mazowieckiego na komisarza skarbowego, przybyłem do Warszawy i oddany zostałem do Liceum, gdzie po egzaminie przed rektorem Lindem, przyjęty zostałem do klasy V-jej. Nie miałem nikogo ze znajomych, lecz wkrótce poznałem i zaprzyjaźniłem się z Tytusem Wojciechowskim, który był na pensji u Mikołaja Chopina, ojca Fryderyka. Ten pierwszy opowiadał mi o geniuszu Fryderyka i o przyjemnych wieczorach,

*) Reinschmidta. (Przyp. red.)



Typ fortepianu z czasów młodości Chopina

spędzanych przy jego grze na fortepianie, a sam był bardzo muzykalny. Opowiadał mi również, że za ostatniej bytności cesarza Aleksandra w Warszawie, młody Fryderyk przedstawiony został cesarzowi w mundurze licencjaty, we fraku, spodniach białych, krótkich pończochach i trzewikach, trzymając w ręku kapelusze stosowany”. Grał przed cesarzem i W. Ks. Konstantym, grał bardzo trudne sztuki i tak biegle, że wszystkich w zachwyt wprowadził a cesarz obdarzył go pierścieniem brylantowym.

Długo nie znałem ani Chopina ani Magnuszowskiego, widywałem ich tylko zdaleka, dopiero w klasie VI-jej, gdzie mnie dopędzili, zawiązała się między nami bliższa znajomość a potem przyjaźń serdeczna. Dominik Magnuszowski siedział w innej ławce, Chopin w drugiej, tuż przy mnie. Pamiętam dobrze, że się z wydawaniem lekcji pierwszy wyrwał, a wydawszy, brał pod stołem leżący papier linjowany na nuty i wciąż pisał, przebijając niekiedy palcami na ławce lub kolanie. Kiedy zaś przemówiłem do niego, zawsze odpowiadał „nie przeszkadzaj!”. Pomimo przyjaźni, nie bywaaliśmy u siebie, a tylko widywaliśmy się w klasach.

Do grona kolegów, z którymi łączyły nas również stosunki przyjaźni, należeli Zygmunt Krasieński, Leon i Feliks Łubieński, Wołowski (później profesor), Karol Wojda, Hieronim Duchnowski, Laube (później pastor), Gawroński (primus klasy — zginął pod Ostrołęką).

Nadszedł czas zdawania egzaminu maturitatis w 1826 r. W oddzielnej sali, gdzie nas profesor ciągle pilnował, żeby jeden drugiemu w zadanych rozprawach nie dopomagał, zasiadło nas szesnastu; przy mnie z jednej strony Chopin, z drugiej — Magnuszowski. Po otrzymaniu patentów dojrzałości Fryderyk pozostał przy rodzicach, gdzie wciąż pracował i znakomite czynił postępy w muzyce. Mówiono, że chodzi do Konserwatorium i uczy się generalbasu i kontrapunktu.

Z Dominikiem byliśmy prawie nierozłączni. Czas wakacyjny spędzaliśmy we wsi Czyszków, gub. warszawskiej, majątku ojca mego, a potem wróciliśmy do Warszawy. Dziad Dominika — Borakowski, odwiedzając się za swoje zaprosiny, żądał, abym u niego zamieszkał, dopóki rodzice moi nie powrócą”.

W dalszym ciągu Reinschmidt opowiada mniej więcej to samo, co autorka „Wspomnień” o wieczorkach u Borakowskiego i grze Chopina, poczem pisze:

„Na początku 1830 roku powzięto zamiar, ażeby Chopin dla dalszego kształcenia się i wyrobienia sobie imienia, wyjechał za granicę. Ojciec Fryderyka niebardzo zamożny podał projekt, aby Fryderyk dla zebrania funduszu dał niby koncert pożegnalny, a który jednocześnie miał dać poznać Warszawie genialność Fryderyka.

Ogłoszono koncert, który ogromnie zaintrygował publiczność, gdyż w afiszach dodano, że Chopin na podany temat będzie improwizował. W sali starego teatru na placu Krasieńskich, przepelnionej publicznością, po odczytaniu sztuk objętych programem wychodził Elsner, ówczesny dyrektor Konser-

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/29

watorjum, wręcza nam zwitek papieru i prosi, abyśmy napisawszy temat do improwizacji, przez orkiestrę podali na scenę. Fryderyk odebrawszy kartkę, uśmiechnął się — siada do fortepianu i zaczyna grać t. j. improwizować na zadany temat. Radość i wesołość przebiega po całej sali, bo tematem tym była znana piosenka^{o)}: „O j g d y b y ś t y c h m i e l u n a t e t y c z k i n i e l a z ł . . .”

Jak z tego tematu rozwinął radosną melodię, w której co chwila powracała zadana nuta, zapisał publiczności przeszedł wszelkie granice. Teatr trząsł się od oklasków i grzmiących okrzyków. Improwizował jeszcze na inne podane tematy, a oklaskom nie było końca. Wyszliśmy z teatru, śpiewając grane przez Fryderyka melodie.

Nadchodzi czas wyjazdu Chopina za granicę. Najbliżsi przyjaciele serdecznie umyślili wyprawić mu obiad pożegnalny. Ja i

^{o)} Na ten sam temat improwizował Chopin już na koncercie swym w Wiedniu — 11.VIII. 1829 r. W liście o tym koncercie pisał m. i.: „...potem na prośbę reżysera, że bym wziął jeszcze polski temat, wybrałem „Chmiela”, co zalektryzowało publiczność... aż skakano na ławkach”. (Hösick: „Chopin” — 1927, tom I (153).

Dominik Magnuszewski byliśmy gospodarzami. Prócz kolegów zaproszeni zostali: ojciec Fryderyka — Mikołaj, starzec poważny przeszło 70 lat liczący^{**)}, doktor Ludwik Köller, przyjaciel domu Chopinów, który niedawno powrócił z Paryża, gdzie przebywał dla ukończenia studjów medycznych. Z kolegów: Gaszyński Konstanty, Fontana (bardzo biegle grający na fortepianie), Wojciechowski Tytus, Chełmicki Wiktor i dobor koleżków Chopina i naszych. Obiad był składkowy. Do składki należeli wszyscy oprócz zaproszonych. Obiad odbył się przy ulicy Dzielnej, w mieszkaniu moich rodziców, którzy podówczas bawili na wsi; miałem więc na miejscu wszystko, co było potrzebne: służbę, nakrycia i t. d. Gdy się wszyscy zebrali, a było nas osmnastu, po przekąsce i obiedzie wówczas bardzo subtym, bo z galaretami i lodami, rozpoczęły się przemówienia i toasty różne. Pierwszy zabrał głos dr. Köller i w imieniu Warszawy życzył Chopinowi nietylko powodzenia i sławy zagranicą, lecz również, żeby nigdy nie wykreślił z pamięci Ojczyzny i przyjaciół, których opuszcza. Przemawiali inni

^{**)} Oczywiście pomyłka. Mikołaj Chopin miał w 1830 r. lat — 60.

w tej samej myśli i duchu, gorąco i serdecznie. Kiedyśmy wstali od stołu i przeszli do salonu, zasiadł do fortepianu Julian Fontana, a grając prześliczne mazury i dzielne „wyrwasy”, pobudził wszystkich do śpiewu. Zapanowała ogólna wesołość i swoboda. Zaczęły się improwizacje i wiersze śpiewały się, jak to mówią, z worka. Prym w tem trzymał Magnuszewski i Gaszyński, czem zachęcony Chopin, zasiadł do fortepianu i wtedy spod jego palców tyle popłynęło cudownych, narodowych melodyj, żeśmy chwilami ze drżeniem serca a łzami w oczach słuchali. Owego wieczoru skomponował muzykę do piosenki: „Szynkarzeczko, szafareczko — bój się Boga, stój...!”, którą wszyscy potem parę razy chórem odśpiewali. Po podwieczorku, gdy humor wzrastał, zaczęły się wykretasy, tańce, solo lub jednego z drugim, i nikt nie pomyślał, że noc się zbliża i czas powrotu do domu. Było to w miesiącu sierpniu^{***)}. Śliczna noc chłodna po dniu upalnym na

^{***)} Nie była to zapewne ostatnia uczta pożegnalna. Chopin z wyjazdem zwlekał. Wyjechał ostatecznie z Warszawy 2 listopada 1830 r. Dzień przedtem żegnano go uroczystie także w mieszkaniu Reinschmid-

sunęła myśl odprowadzenia Chopina do mieszkania. Wyszliśmy wszyscy razem (prócz starszych wiekiem, którzy osobno podążali) a przebijając się dziwnie, śmiech w przechodzących wzbudza. Pamiętam, że Magnuszewski miał płaszczyk z trzema pelerynkami odpinanymi — modny wówczas. Otóż trzech, odpiawszy peleryny, przystroiło się niemi, czwartym wdział sam płaszczyk, i tak szli na Krakowskie Przedmieście, do pałacu Krasieńskich, gdzie Chopin miał mieszkanie w prawym pawilonie. Tak się skończył ów pamiętny dzień dla nas wszystkich. Wkrótce potem Chopin wyjechał do Paryża, nie przeczuwając, że na zawsze opuszcza Ojczyznę“.

* Autorka „Wspomnień” przytoczywszy opowiadanie szwagra Reinschmidta, dodaje, że Chopin jadąc z własnej woli za granicę, był u dziadzi Borakowskiego i młodych Magnuszewskich z pożegnaniem; „był wesoły, grał i improwizował, aby go zachować w pamięci na długo“.

ta. Na tej uczcie wręczono mu puchar srebrny. (Por. Hösick: lib. cit.). Piosenkę, o której mowa, napisał Stefan Witwicki p. t.: „Hulanka“.

PRZEKŁADY Z ALEKSANDRA BŁOKA

SCYTOWIE

Miljony — was. A nas — bezdenny nurt.
Spróbujcie-ż tej podołać mocy!
Tak, w dymnym cieniu azjatyckich jurtt
wzrosli, jak las, scytowie skońnoocy.

Godziną dla nas wasz miniony czas.
Przez długie wieki w ciężkiej doli
byliśmy tarczą wpośród wrogich ras
Europy i Mongolji.

Stulecia całe stary młot wasz bił,
głuszac idący grzmot lawiny —
i bajką była wobec naszych dni
zguba Liskony i Messyny.

Przez setki lat patrzyliście na wschód,
bogactwa łupiac ręką chciwą,
pilnując chwili, gdy u naszych wrót
armaty zaczną zbierać żniwo!

Oczekiwany już nadchodzi czas.
Kąpie się trwoga w krzywdy oceanie,
ziści się dzień — i z waszych rojnych miast,
być może, śladu nie zostanie!

O, stary świecie! Póki jeszcze trwasz
i w męce chwiejesz się nad kładką,
jak mądry Edyp, spójrz sfinksowi w twarz,
rozstrzygającą dręcząc się zagadką.

Rosja — to sfinks. Spłynęła czarną krwią,
szczęście i ból w jej sercu rośnie,
w źrenice twoje wbił się chciwy wzrok
i nienawistnie, i miłośnicie.

A tego ognia znieść, co w nią się wżarł,
nie zdoła w świecie pierś niczyja!
Zapomniał świat, że jeszcze płonie żar,
który przepala i zabija!

Bóstw objawienie, liczb surowy chłód
tak samo serca nasze wzrusza.
Nie ginie w nas galijskiej myśli głód,
ni germańskiego sen genjusza...

Nie zapomnimy adrzytyckich fal,
ani paryskich ulic piekła,
koloński tum i wonnych gajów dal
jednako oczy nam urzekła...

Kochamy ciało, — jego barwę, smak,
rozkładu duszny, trupi zapach...
I któż tu winien, że kościotrup wasz
zachrząści w ciężkich naszych łapach?

Lubimy wielce wśród stepowych stad
schwytanym źrebcom łamać grzbiety,
albo karzący wznosić bat
na niewolników i kobiety.

Więc chodźcie do nas! Widma krwawych burz
niech przyjacielki uścisk zaćmi!
Póki nie późno — w pochwę stary nóż,
o, towarzysze! Bądźmy braćmi!

A jeśli nie, — niewiele będzie strat,
wejdziem na drogę wiarołomną.
Następcy wasi za tysiące lat
klątwa was znajdą i wypomną.



ALEKSANDER BŁOK Rys. A. Millioti

Wśród pól i błot, po lasach, puszczech, krzaczach
niech Europie drogę wskażą
rozpierzchłe tłumy. Błysnie nagły strach
okrutną azjatycką twarzą.

Aż do Uralu niech was wiedzie mord.
Czynimy miejsce tym zapasom,
w których świat maszyn i mongolskich hord
śmiertelnie zejda się sam na sam.

Lecz nie wyjdziemy na bitewny wtór
i nasza tarcza waszą nie zostanie,
zdaleka patrzeć będziem z dymnych jurtt,
jak krwawi ziemia w groźnym huraganie.

Nas to nie wzruszy, gdy okrutny Hunn
dobytkiem trupów się wzbogaci,
gdy stare miasta skąpie w blasku łun
i zacnie smażyć mięso białych braci.

Ginący świecie — los twój jeszcze raz
pieśń barbarzyńcy ci odsłania,
i głośno wzywa, póki staje czas,
na bratnią ucztę pojednania.

Przełożył Józef Łobodowski

SNEM CICHYM

Snem cichym usnijcie, przybysze z za morza, usnijcie —
zapomnieć musicie, że klatka mrocznieje pocichu,
że gwiazdy się sypią, motając nić srebrną w zenicie,
że węże złociste pływają w szampana kielichu.

Gdy nić ta, nareszcie, w błyszczącą zamieni się siatkę,
bezkręsem zaś jednym kłęb węzów z kielicha się stanie,
ktoś wzniesie i rzuci z rozmachem zbyteczną już klatkę
w głąb wieczną błękitu, w bezdennych przepaści otchłanie.

ODWIEDZINY

Głos

Nie choiny wysmukłe unoszą
na zachodzie wierzchołków swych krzyże,
to twe dłonie nad śnieżną pustoszą
coraz bliżej błyskają i bliżej.
Pochłonięta wichrami i bielą,
Uniesiona na martwe rozstaje,
Znów się chylę nad twoją pościelą
i oddycham i twarz twą poznaję.
W mroku nocy mój wieniec się żarzy,
a tych nocy bezsennych tak dużo.
I źrenice błękitne na twarzy
zachowałam przed wichrem i burzą.
Odblask ognia w twych rysach się kładzie,
w męskim głosie grzmią mój niepokoję,
ale wzrok wystraszony mi zdradził,
że twe serce, jak dawniej, jest moje.

Drugi Głos

Wichry dom ten okryły już bielą,
przygasł ogień i pustka się mroczy.
Nad mą chłodną, samotną pościelą
wróg schylony zagląda mi w oczy.
W ślepej duszy zostało nie wiele,
jeśli wspomnę — mknie wichur z oddali,
tylko rubin gasnący w popiele
twarz zwęgloną płomieniem osmali!
spojrzeć w oczy błękitne już nie śmię,
świat miniony żałoba się znaczy.
I skurczyło się serce boleśnie
pod wspomnieniem minionej rozpaczy.

PRZY MAŁEJ MOGIŁCE...

Przy małej mogiłce, w zielonej oddali,
w święto zwiastowania śpiewano hymn.
Biali księża z jasnym uśmiechem chowali
maleńką dziewczynkę w szatce — jak dym...

Wszystkich wszak, kto woli najwyższej uprosił
ma w opiece swojej Ojciec, niebios król.
Cicho się kadzieli dym ku niebu wznosił,
jakby nie z kadzielnicy, lecz z zielonych pól...

W GĘSTWINIE TRAW...

W gęstwinie traw przepadniesz, zginiesz z głową,
wejdiesz w dom nie stukając do drzwi —
i opłot rąk — i warkocz smugą płową —
i, wysmukła, powiesz: „Witaj mi!”

Patrz, u mnie tu róż białych krzak szeleści,
jeszcze wczoraj tam powój się piął.
Gdzież kryłeś się? Skąd, jakie niesiesz wieści?
Kto lubi, nie lubi? Kto ganić ją?

Już nieraz tak zapomnisz, że dni płyną,
hardej duszy przebacysz zły gniew
i patrzysz w dal — wiatr pędzi chmurę siną —
i w daleki zasluchasz się śpiew...

Przez obcy kraj tak gorzko serce płacze,
choć do bitew wabi urok słów.
Ty powiesz mi: „Żegnaj. Czy cię zobaczę?”
I dzwoneczki wśród traw dzwonią znów.

Przełożył Józef Czechowicz

TEODOR SEIDLER

NA DROGACH DO NOWYCH FORM USTROJOWYCH

Starem jak świat jest zagadnienie stosunku jednostki do zbiorowości, czy nią będzie społeczeństwo, naród, czy państwo.

W najprymitywniejszym skrócie problem ten brzmi: czy państwo dla jednostki, czy jednostka dla państwa. Stąd rozważania w kilku różnych płaszczyznach: od kogo wywodzi się zasięg praw i moc działania, czy państwa od jednostek, czy jednostek od państwa, czy zatem zbiorowa wola jednostek wytwarza pojęcie społeczeństwa i czy zakreśla społeczeństwu jego uprawnienia, czy też zbiorowość jest sama w sobie jestestwem od jednostek poszczególnych niezależnym, jestestwem, dzięki któremu poszczególne indywidua otrzymują swoje społeczne istnienie.

A dalsze rozważania są zależne od odpowiedzi na pytania poprzednie; komu należy się pierwszeństwo w wypadku kolizji: państwu, czy też jednostce; kto ma prymat — jednostka, czy też — społeczność; indywiduum, czy też uniwersum.

Stąd też nazwa obu kierunków: pierwszy przyznający bezwzględna przewagę jednostce — to kierunek indywidualistyczny; drugi dający prymat społeczności — to kierunek uniwersalistyczny.

Każdy z tych kierunków ma odmienny pogląd na prawa i obowiązki człowieka, ma zatem odmienną etykę; wykazuje różne stosunkowanie do piękna i sztuki, ma więc odmienną estetykę; odmiennie patrzy na zagadnienia wszechświata; co więcej — posiada nawet odmienny sposób rozumowania i wnioskowania, ma jakgdyby odmienną logikę.

Bezwzględne domysleniem do końca indywidualizmu w dziedzinie społecznej są poglądy polityczne Machiavellego w jego dziele „Il Principe”. Silny wysuwają się na plan pierwszy, podbija i ujarzmia słabych, wszystkie środki w osiągnięciu tego celu są dopuszczalne, a „książę, który chce władzę utrzymać w swym ręku, musi umieć w miarę potrzeby być złym”. „Jest rzeczą szkodliwą być stale uczciwym, ale natomiast jest pożytecznym uchodzić za pobożnego, ludzkiego i bogobojnego”.

W indywidualizmie tym jest silna jednostka postawiona ponad jakimkolwiek prawem, ponad moralnością; działanie społeczne i polityczne jest w tej strukturze indywidualizmu zupełnie amoralne.

Odmienną w swej koncepcji, ale również zupełnie indywidualistyczną jest już w wieku XVII u Grocjusza oraz Tomasza Hobbesa występująca, a następnie przez J. J. Rousseau rozwinięta teoria umowy społecznej.

Koncepcja ta mimo swej nierealności i wybitnie fikcyjnego charakteru przetrwała po czasy ostatnie i łącznie z nigdzie ściśle nieprzepracowaną teorią Monteskiusza o podziale władz stanowi podstawę wszystkich ustrojów parlamentarnych.

Założeniem umowy społecznej jest fikcja istnienia zupełnie wolnych, niezależnych jednostek, jakgdyby w przestworzu zawistych atomów, które dla celów utylitarystycznych, a więc dla uniknięcia uderzeń o siebie i starć między sobą zawierają umowę. Umowa ta łączy owe luźne atomy i w ten sposób powstaje państwo i władza w państwie.

W tej konstrukcji jest już momentem drugorzędny, co ten fikcyjny atomistyczny zespół ze siebie wylania: jednostkę rządzącą, czy też kolegijum, następnie drugorzędny jest, czy w ten sposób utworzone upelnomocnienia będą raz na zawsze udzielone, czy też będą one mogły być każdej chwili odwołane, a w końcu jak wielkim będzie zasięg tego upelnomocnienia.

Następstwem tej indywidualistycznej i atomistycznej teorii o umowie społecznej jest tak oświecony absolutyzm XVII i XVIII stulecia, jak i współczesny parlamentaryzm.

Z koncepcji umowy społecznej w łączności z teorią o podziale władz wywodzi się współczesny ideał państwa indywidualistycznego, a więc jego powstanie, stosunek jednostki do państwa, jednostki do jednostki, w końcu pojęcie władzy.

Państwo indywidualistyczne jest w swym założeniu tworem atomistycznym, pozbawionym momentów tradycji, a więc pierwiastka irracjonalnego. Wszak umowa społeczna może być każdej chwili rozwiązana i może być zawartą w nowej kreacji z innymi jednostkami. Momenta zatem dośrodkowe: jak wspólność mowy i wierzeń, wspólność przeżyć historii, wspólność konfiguracji geograficznej — są w państwie tem, jeśli nie balastem i przeszkodą, to w każdym razie momentem drugorzędny. Jednostka w państwie indywidualistycznym siłą faktu skłania się ku kosmopolityzmowi.

Stosunek jednostki do państwa jest w państwie indywidualistycznym stosunkiem dorywczym, a nie organicznym. Jest to jakgdyby umowa odpłatna, opierająca się na zasadzie „do, ut des”.

Liberalizm dołącza do błędów państwa indywidualistycznego jeszcze obłudę.

Państwo indywidualistyczne samo przez się nie głosi zasady równości; a teoria umowy społecznej była podstawą również i parlamentaryzmu stanowego oraz kurjalnego, chociaż w parlamentaryzmach tych nie obowiązywała równość.

Liberalizm obłudnie głosi jednym tchem zasadę równości i wolności; lecz równość autoramentu liberalnego ma charakter czysto formalny, wolność zato jest bezwzględnie przestrzegana.

Liberalizm stawia jako zawodników w biegu do mety: syna nędzarza i syna kapitalistycznego potentata; następnie nie wyposażając pierwszego w żadne momenta równoważące te wszystkie plusy, jakimi dysponuje jego konkurent, z obłudnym zawołaniem równości zleca obu wysiść do mety. Pierwszy musi być i fizycznym i umysłowym tytanem, by sprostał drugiemu.

Arystoteles ujął zagadnienie uniwersalizmu w lapidarnym zdaniu, znajdującym się w jego „Polityce”: „Całość musi poprzedzać część”.

Jest to ujęcie problemu społeczeństwa, narodu, państwa w sposób apriorystyczny. Zbiorowość jest czemś organicznym, stanowiącym istotę dla siebie, istotę niezależną od woli i istnienia poszczególnych jednostek.

Nie zbiór jednostek wytwarza społeczeństwo, ale zbiorowość daje życie jednostce, przez zbiorowość powstaje dla jednostki wartość jej istnienia.

Problem państwa jest tu ujęty w rażącem przeciwieństwie do atomistycznego poglądu indywidualizmu. Gdy zatem problematyka państwa indywidualistycznego obraca się w granicach atomistycznych, induktywnych i relatywnych, to problematykę państwa uniwersalistycznego cechują: organiczność, dedukcja i aprioryzm.

Państwo uniwersalistyczne nie jest czemś dorywczym, ale ma swoją ciągłość, która sięga daleko poza życie jednostki. Tradycja przeżyć dawno minionych pokoleń jest żywą, mającą znaczenie w teraźniejszości; wspólna dola i niedola, pamięć wielkich dni chwały i upokarzających klęsk, wpływ podłoża geograficznego, akomodowanie się do granic państwowych, oddziaływanie warunków gospodarczych i społecznych, wspólność upodobań, wierzeń, kultów, mitów, — w państwie narodowym wspólność mowy — to wszystko w perspektywie całych stuleci składa się na pojęcie państwa uniwersalistycznego.

W okresie kilkunastu lat ostatnich szereg państw zerwało w swych konstrukcjach ustrojowych z indywidualizmem, wyrażającym się w parlamentaryzmie i demokracji reprezentacyjnej.

Należy obecnie zadać sobie pytanie, czy to przekreślenie parlamentaryzmu przybliżyło odnośnie państwa do uniwersalizmu, dotyczy to przede wszystkim Rosji Sowieckiej, faszyzmu Italii i narodowego socjalizmu Niemiec. — W najkrótszym zarysie, ma-

jąc przed oczyma problematykę uniwersalistyczną, spróbujemy omówić stosunek tych państw do zagadnienia uniwersalizmu.

Bolszewizm w kierunku równości poszedł do granic maksymalnych. Równość majątkową uzyskano w sposób mechaniczny, niszcząc radykalnie sfery posiadające i obalając w zasadzie pojęcie własności. — Dla „biedoty”, najszerzych mas proletariatu obowiązują zasada zupełnej równości, dawna burżuazja, późniejsi nepmani są „liszeńcami” omalże z pod prawa wyjętymi. A że stosunek liczebny proletariatu do tych rozbitków burżuazyjnych jest przygniatający, więc przekrój społeczny daje niezamącony obraz równości.

I choć uniwersalistyczny światopogląd, stale uwzględniając irracjonalne momenta przeszłości, jest zasadniczo przeciwnym rewolucyjnym wstrząsom, choć uniwersalizm dzięki swemu harmonijnemu założeniu dąży do ewolucyjnego rozwiązywania problemów społecznych i gospodarczych, to przecież obecnie — wobec faktów dokonanych — dla rozważań niniejszych jest już obojętnym, w jaki sposób ten stan rzeczy nastąpił, obojętnym jest, czy rewolucyjne działanie nie wyrządziło zbyt wielkich strat i szkód w majątku narodowym; czy gospodarczo było ono krokiem wprzód, czy też może poważnym cofnięciem się, czy nie obniżył proces ten — poziomu intelektualnego całego społeczeństwa.

Problemem, którym w danym momencie zająć się należy, jest odpowiedź na pytanie, jakie społeczne następstwa równość ta wywołała?

Otóż nie ulega wątpliwości, że równością tą moment klasowej walki, nienawiści i materialnych pożądań został gruntownie zniwelowany. — Efekt osiągnięty środkami sprzecznymi z uniwersalizmem — pchnął państwo rosyjskie w kierunku konstrukcji uniwersalistycznej.

Proletariatowi rosyjskiemu może powodzić się materialnie obecnie o wiele gorzej, niż za czasów caratu, mimo to — nie widząc ludzi lepiej sytuowanych, nie widząc „klas posiadających”, nie ma on pożądaną zmiany swej sytuacji. Ten proces niwelacyjny wyłącza: moment niezadowolnienia, chęć buntu i przeciwstawienia się panującej formie rządu.

Cała siła i trwałość reżymu bolszewickiego tkwi w przeważającej części, w tej wielkiej psychicznej prawdzie, że ludziom nie musi dźbiać się dobrze, lub choćby znośnie — oni mogą omalże z głodu przymierać, mogą chodzić w lachmanach i mieszkać w walących się chatkach, o ile tylko nie męczą ich zazdrość i widok lepiej sytuowanych.

Analizując problem wolności w Rosji Sowieckiej, mimowoli staje przed oczyma obraz stanu wojennego. Każda jednostka jest w zupełności wciągnięta w orbitę służby państwowej; każdy obywatel, każdy jego czyn, krok, słowo, omalże myśl, zostały zetatyzowane. — Rosja Sowiecka robi wrażenie od chwili swego powstania państwa znajdującego się stale w stanie wojennym.

Na wojnie dla osiągnięcia wytkniętego celu poświęca się nieraz nie tylko jednostkę, nie tylko oddział jakiś, ale rzuca się na niechybną śmierć całe dywizje, by tylko zwycięsko rozegrać kampanję. Zniszczyć jednostkę chociażby niewinną, posądzić o sabotaż szereg inżynierów i speców tylko dlatego, aby w chwili zbyt powolnie postępującego procesu industrializacji — zwalić na nich winę — wobec zniechęconych i niezadowolonych mas; wysiedlić kilkadziesiąt tysięcy chłopów i przerzucić ich setki kilometrów dalej; — to są wszystko zarządzenia mające charakter czysto wojenny, w którym na dłuższą metę gubi się zupełnie wolność jednostki, jaką określiliśmy w konstrukcji poglądu uniwersalistycznego.

Wymaga to stałego napięcia nerwów i podniecenia, które na całości organizmu muszą ostatecznie odbić się ujemnie. To wyczerpanie nerwów i całej energii jest tem niebezpieczniejszym, jeśli uprzytomnimy sobie, że młodzież sowiecka w atmosferze tej żyje, a co więcej nawet jako „udarne oddziały” oddaje usługi niejednokrotnie w najbardziej zagrożonych sytuacjach.

Spoleczeństwo tak, jak jednostki dyspo-

nuje tylko pewną ściśle określoną ilością swej energii: gwałtowne i stale eksploatowane tej energii w okresie wojny, pociągnąć musi depresję i kwiatyzm, jakie obserwujemy po wielkiej wojnie choćby we Francji, gdzie bezkrytyczne dążenia pacyfistyczne omalże obrażają majestat i powagę państwa.

Ze Rosja Sowiecka mimo tego zupełnego zetatyzowania obywatela, mimo tego wewnętrznego wojennego nastawienia, nie okazuje chwilowo wyczerpania, przypisać należy bierności psychiki ludu rosyjskiego i kosmolalnemu rezerwoarowi ludzkiemu, jakim dysponuje to euro-azjatyckie imperjum; lecz jak będzie wyglądała najbliższa generacja elity bolszewickiej, jeśli jej członkowie już od chłopięcego wieku znajdują się na froncie walki politycznej? Jaki zapas energii i twórczości wykażą wówczas ci czterdziestokilkuletni ludzie, którzy omalże od lat trzydziestu będą już mieli za sobą pracę polityczną?

Ta w sposób wojenny do maksymalnych granic ściśnięta wolność jednostki na dłuższą metę nie da się dobrze pogodzić z współczesną strukturą światopoglądu uniwersalistycznego; przekreślenie zupełne nie tylko praw politycznych, ale i praw człowieka — grozi w przyszłości oświeceniem, a co najmniej sprowadzeniem życia państwowego do szablonych biurokratycznych i zabicia wszelkiej twórczości i inicjatywy w każdej dziedzinie.

Jeszcze gorzej przedstawia się to, co w państwie uniwersalistycznym jest punktem wyjścia i założeniem samej konstrukcji. Oto cel i ideał państwa — Marks, a za nim bolszewizm sprowadzili do elementów jedynie materialistycznych — wyłączając wszelkie pierwiastki transcendentne.

Bolszewizm przedstawia się jako stale dążenie do zracjonalizowania pierwiastków irracjonalnych; lecz jest to syzyfowa praca. Najbardziej gryząca analiza, nie można zabić irracjonalizmu i duszy, a lokiet historycznego materializmu nie starczy do zmierzania niebosiężnego lotu i tęsknoty ku „Bogu” — bez względu na to, jaką siłą irracjonalną nazwiemy tę niedającą się ująć, nieskończoną, niewiadomą.

Jednostka w Rosji Sowieckiej łącznie z całym państwem znajduje się w wirze szalonej gorączkowej pracy. Jednostka w państwie bolszewickim jest ogromem tych prac, ich nerwowością i gigantyczną skalą — oszołomiona, jakgdyby zasugerowana, wszędzie walka człowieka z materją, wszędzie kreacje na wzór wysiłków i dzieł faraonów; ale kopciuszek irracjonalny puka skromnie do drzwi, będzie niebawem bar dziej natarczywym i o prawa swoje się upomni.

Rosja Sowiecka w konstrukcji swej jest tylko torsem państwa uniwersalistycznego, stanie się niem w pełni, gdy wewnętrzny stan obłączenia ustanie, gdy państwo uszanuje „człowieka” i gdy znajdzie swego „Boga”, który obali złote ciele materializmu.

W faszyzmie moment irracjonalny ma znaczenie dominujące. Gdy bolszewizm usiłuje wszystkie pierwiastki irracjonalne zracjonalizować, faszyzm stara się je użytkować i przemienić w czyn; uskutecznia to wódz i jego elita. Więc przedewszystkiem obowiązuje intuicja w kierunku wycucia momentów faktycznych i irracjonalnych, a następnie szybka decyzja i czyn.

Ta dążność do jak najrychlejszego, praktycznego użytkowania momentalnych sytuacji prowadzi w rezultacie do dwu konsekwencji: braku programu i lekceważenia historii.

Zgóry zakreślony program wyklucza możliwość użytkowania każdej sytuacji, wyklucza stuprocentowy oportunizm działania, dlatego też faszyzm przyznaje, że plan i program na jakąś choćby krótką metę nie istnieją: „Nasz program jest całkiem prosty, my chcemy rządzić Italią. Pytają nas zawsze o programy, myśmy ich mieli dużo; Italia nie potrzebuje programów, tylko mężów i czynów”¹⁾.

¹⁾ Mussolini: Mowy, wydanie niemieckie Mussolini: Reden, Leipzig 1925. Str. 105 i 134.

Z drugiej strony również historii, tradycji w sensie konserwatywnym, względnie ewolucyjnym, odmawia faszyzm racji i znaczenia. Wzory i ewolucje wypadków historycznych mogą być tylko przeszkodą dla szybkich i śmiałych czynów i z czynów tych wynikających korzyści: „My nie jesteśmy historycznymi kobietami, które wciąż lekko patrzą w przyszłość, my nie czekamy na przeznaczenie lub objawienie historii. My nie sądzimy, by historia powtarzała się, by szła utartą drogą”²⁾.

Jeśli mimo to faszyzm i „il duce” operują pojęciami historycznymi, jak pojęciem „rzymskiego imperjum”, „wiecznego miasta”, „narodowej wojny” — to nie są to jakieś realne wartości historyczne, ale „mity”, które fascynując masy jako pierwiastki irracjonalne dadzą się przekuć na czyn.

Takie pojęcie mitu i ocena ich znaczenia wykazują wpływ socjologicznych poglądów Vilfreda Pareto i jeśli nie cały faszyzm, to w każdym razie jego góra zgodnie z V. Pareto przyznają, że za „mitem” nie mieści się nic realnego, że jest on sprzeczny logicznemu myśleniu. Stąd dla tego całego splotu zagadnień irracjonalnych cichy sceptycyzm, który mimowoli przebiega się w impulsywnych oświadczeniach wodza: „Myśmy stworzyli mit, mit ten — to wiara, szlachetny entuzjazm, on może nawet nie być rzeczywistością, on jest bodźcem, nadzieją i odwagą. Naszym mitem jest naród, wielki naród, z którego chcemy uczynić konkretną prawdę”³⁾.

Ileż tu cichego sceptycyzmu dla tego zdawałoby się w faszyzmie zasadniczego pojęcia „narodu”; ileż sceptycyzmu połączonego z niezwykle dynamiką uczucia i entuzjazmu? — Dopiero stały, ciągnący, wyęziony czyn — jest w stanie z tej płynnej powiewnej idei „narodu” — wykuć pojęcie realne. Nic może bardziej i lepiej nie charakteryzuje psychiki obywatela Italji — jak właśnie ta symbioza sceptycyzmu i entuzjazmu.

Intuicjonizm i dążność do błyskawicznego zużytkowania pierwiastków irracjonalnych oraz mitów z jednej strony, a sceptycyzm z drugiej strony — cechują okres rządów faszyzmu tak w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej.

Krańcowość i odchylenia z jednego ekstremu w drugi, konjunkturalne, stałe „carpe diem” — mają swoje pełne wytłumaczenie w tych wszystkich cechach faszyzmu.

Faszyzm, który u swej kolebki był prądem silnie socjalizującym, głoszącym zasady syndykalizmu, rychło godzi się z kapitalistyczną strukturą gospodarczą, uzgadnia się z wielkim przemysłem i finansjerą, co więcej — wpada jakgdyby w ekstrem przeciwny: kultu i gloryfikacji kapitalizmu. „Prawdziwa historia kapitalizmu rozpoczyna się obecnie, bo kapitalizm to nie system ucisku, lecz dobór tego, co najbardziej wartościowe, zrównanie najdzielniejszych, silne wzmoczenie zmysłu indywidualnej odpowiedzialności”⁴⁾. Ostatnio natomiast przeżywa faszyzm ponowne odchylenie w przeciwnym kierunku, do głosu przychodzi tendencje antykapitalistyczne i próby syndykalizmu.

A czy polityka zagraniczna Italji w okresie faszyzmu nie wykazuje niedających się przewidzieć i zrozumieć ekstremów; one zupełnie dziwić nie mogą, skoro „il duce” oświadcza: „Ja nie mam zaufania do idealów pacyfistycznych, lecz ich nie wykluczam, gdyż ja wogóle niczego nie wykluczam; wszak wszystko może być realnem, nawet nonsens i niemożliwość”⁵⁾.

Historja współczesna przedstawia się dla faszyzmu, jako szereg zdjęć migawkowych, w trakcie których zadaniem wodza i jego elity jest szybka orientacja i wyciągnięcie z każdej sytuacji największych korzyści.

I teraz po tej analizie możemy dać odpowiedź na pytanie, czy faszyzm jest jedną z kreacji uniwersalistycznych i czy współczesna Italja jest państwem uniwersalistycznym?

Faszyzm jest kreacją indywidualistyczną, a przypatrując mu się bliżej, dostrzegamy podwójne janusowe jego oblicze: oto maskę kondotjera renesansu i maskę Machiavellego: Kult czynu, intuicja i śmiała decyzja — to z kondotjera; sceptycyzm i jakiś bezwstydnie nagi, ale przytem wielkością swoją imponujący brak jakichkolwiek skrupułów — to z Machiavellego.

Jakież dziwnie harmonizują poglądy głoszone w „Il principe” Machiavellego z polityką współczesnego faszyzmu; zimny realizm, dziwna amoralność i w gruncie rzeczy sceptycyzm oraz lekceważenie rządzonej masy ludzkiej są im obu wspólne.

Tę podwójną twarz Janusa raz już okazała historia zdziwionemu światu na przełomie XVIII i XIX stulecia; miał ją genjusz Napoleona I-go. — Gdy szubującą nawa państwowa natrafi na próżnię: tracąc równowagę zda się staczać w przepaść, wówczas chwytając ster w swe ręce genialny dyktator i śmiałością, zdecydowanymi ruchami przepływa przez krytyczny okres. Taką pustkę przeżywała Francja po wielkiej rewolucji; przeżywała Italja po zgraniu się zupełnem swego parlamentarizmu, omalże najgorszego na starym kontynencie.

Lecz Napoleon I mimo swego genjusza nie zmienił właściwie struktury ani społecznej, ani gospodarczej Francji; zostawił ją taką, jaką zastał po rewolucji; została po nim wspaniała karta dziejów, sława oręża i czynów wojennych, lecz cały sens jego rządów stał się zupełnie nierealnym z chwilą jego upadku.

Jeśli śmierć Lenina nie zdołałaby odwrócić karty dziejów, bolszewizmu, jeśli ewentualne wycofanie się Stalina lub szeregu osób elity bolszewickiej nie mogłoby zmienić konstrukcji społeczno-gospodarczej Rosji Sowieckiej, — to pojęcie faszyzmu współczesnej Italji wyczerpuje genjusz Mussoliniego, gdy jego zabraknie, skończy się faszyzm, skończy się sens jego rządów, które bez tej centralnej postaci nie są do pomysłenia.

Indywidualista Macchiavelli i cichy sceptyk Pareto nie są na dłuższą metę dobrymi mistrzami.

Wydawanie jakiegoś skryształizowanego sądu o stosunku narodowego socjalizmu

Rzeszy niemieckiej do uniwersalizmu byłoby w chwili obecnej rzeczą przedczesną.

Gdy faszyzm i bolszewizm obok teoretycznej struktury mają szereg lat rządów i praktyki za sobą, — to niemiecki narodowy socjalizm uzyskawszy niezbyt dawno władzę, stawia pierwsze kroki i poczynna przyoblekać swą teorię w realne kształty.

Natomiast można już dziś rozpoznać te pierwiastki, które narodowy socjalizm wytworzył oraz można przewidzieć ewentualne jego linie rozwojowe, a tem samym wyciągając pewne wnioski, dotyczące jego relacji do problematyki uniwersalistycznej.

Niemcy przedwojenne cechują wybujały imperjalizm i gorączkowa ruchliwość, wyczuwająca wrazenie jakiegoś chorobliwego niepokoju. Już Bismarck oświadczył był, że niema miejsca pod słońcem, dla którego polityka niemiecka nie miałaby swego zainteresowania. — W okresie rządów Wilhelma II dążenia te zyskują na intensywności i otrzynują zabarwienie wybitnie nerwowe. Wszak przedwojenne cesarstwo niemieckie wykazuje w ostatnich dziesięcioleciach szalony rozwój przemysłu i handlu: Niemcy mają omalże w każdym zakątku świata swoje faktorie, w gorączkowej progresji rozwija się ich flota handlowa i flota wojenna. Łącząc się z tem szereg posunięć, które zwłaszcza w polityce zewnętrznej w interpretacji junkra pruskiego rażą swoją bezceremonialnością.

Wybuja wojna światowa, ta wojna, która ma Niemcom otworzyć wrota do panowania nad światem; w ich wyobraźni bliski i daleki wschód — to już kolonie niemieckie, a usilne pragnienie Wilhelma II: linja Berlin — Bagdad wydaje się być czymś realnem, stamtąd ścielą się już stare szlaki Aleksandra Wielkiego do Afryki i Indji; — zdaje się, że niedalekim jest dzień, w którym imperjalizm cesarstwa osiągnie panowanie nad całym starym światem.

PRZYSZŁOŚĆ „CYWILIZACJI EUROPEJSKIEJ”

Z inicjatywy francuskiego Komitetu Współpracy Europejskiej (Coopération européenne) odbyły się w październiku 1933 r. w Paryżu rozmowy na temat przyszłości cywilizacji europejskiej. Udział w obradach wzięły następujące osobistości:

Z Francji: Paul Valéry jako przewodniczący, J. Benda, L. Brunschvicg, G. Duhamel, Focillon, ks. de la Brière, de Las Cases, A. de Monzie, D. Parodi, G. Rageot, J. Rais, J. Romains;

Z Włoch: E. Bodrero, F. Coppola, F. Enriques; z Danji: Viggo Broendal; z Rumunii: J. Cantacuzène; z Portugalji: J. Dantas; z Belgji: J. Destrée; z Holandji: L. Huizinga i J. Limburg; z W. Brytanji: A. Huxley; z Niemiec: hr. v. Keyserling; z Hiszpanji: S. de Madariaga; z Szwajcarji: W. Martin; z Węgier: hr. Teleki.

Obrady uwieńczone zostały zorganizowaniem Towarzystwa studjów europejskich (Société d'études européennes). Statut Towarzystwa zawiera pięć paragrafów.

§ 1: Towarzystwo studjów europejskich ma na celu badanie zagadnień natury intelektualnej (d'ordre intellectuel) dotyczących przyszłości cywilizacji europejskiej. Towarzystwo starać się będzie, szczególnie przez stosunki osobiste pomiędzy swoimi członkami, wzbudzić w Europie świadomość jedności jej kultury.

§ 2: Stowarzyszenie składa się: a) z członków założycieli (t.j. tych wszystkich, którzy brali udział w „rozmowach”); b) z członków europejskich, dobranych drogą kooptacji; liczba ogólna członków nie może przewyższać 200, z których maximum 20 może należeć do jednej narodowości.

§ 3: Wybory przeprowadza się drogą korespondencji; głosowanie jest tajne. Kandydatów ma przedstawić conajmniej trzech członków, należących do conajmniej dwóch różnych narodowości.

§ 4: Biuro towarzystwa składa się z jednego prezesa i pięciu wiceprezesów, sekretarza i skarbnika.

§ 5: Składki indywidualne ustala się na fr. szw. 20.— rocznie.

Pierwszym prezesem został wybrany Paul Valéry — wiceprezesami: pp. E. Bodrero, prof. J. Cantacuzène (który jednakże wkrótce po wyborze zmarł), prof. Huizinga, hr. H.

v. Keyserling i prof. Madariaga. Siedzibą towarzystwa jest Paryż.

Towarzystwo jest organizacją samodzielną, nie mającą styczności z Międzynarodowym Instytutem Współpracy Intelektualnej.

Powstanie towarzystwa studjów europejskich poprzedziły obrady, a raczej „rozmowy” (taką bowiem nazwę nadano sprawie) zdaniami, jakie się ukazały w końcu marca b. r. *) o tak niezwykle wysokim poziomie, o tak szerokim zakresie tematów i tak głębokich, że dopiero zaznajomienie się z przebiegiem tych rozmów może dać pojęcie o znaczeniu nowej instytucji, jaka łączyć będzie w sobie elitę elit świata kulturalnego Europy. Ten jedyny w swoim rodzaju symposium nazwał A. Huxley doskonałym i wzorowym.

Inicjatorzy rozmów mieli na celu konfrontację poglądów przedstawicieli elity europejskiej na temat przyszłości cywilizacji europejskiej.

Pomimo dużych wysiłków nie uzgodniono definicji ducha europejskiego, stwierdzono jednakże, że duch europejski jako wyraz pewnej wspólnoty kulturalnej istnieje i że istniał w różnych przejawach w wiekach minionych.

W dyskusji nie brakło sporów i zaprzeczeń. Omijano też trwożliwie konkretne kwestje polityczne, a próby podjęte w tym kierunku przez przedstawicieli Włoch i Francji, Paul Valéry z właściwą mu zręcznością dyplomatyczną likwidował bądź też sprowadzał na właściwe tory.

W przemówieniach nacechowanych wytwornością formy i bogactwem treści wykazali mówcy nietylko walory intelektualne, ale i wielki zapał i szczerze nastawienie uczuciowe, świadczące, że w tej chwili osobliwej, jaką przeżywa świat cywilizowany, konieczne jest porozumienie elit wszystkich narodów bez zamiaru niwelacji czy negacji dążeń narodowych (stałe podkreślano zamiar uszanowania różnic i odrębności narodowych) dla jedynego celu, jakim jest ratunek przed grożącą zagładą wielkich wartości kulturalnych, wytworzonych przez wiekową pracę ducha ludzkiego.

Henryk Kalwaryjski

*) Wyd. Société de Nations Inst. de la Coopér. Int. Stock Paris 1934.

Miast realizacji tego snu o potędze — długa, wyczerpująca wojna i wkońcu pokój wersalski.

Jest zrozumiałem, że po pewnym czasie ambicje imperjalistyczne u tych, którzy tak „cudnie marzyli, a których tak srodze zbudzono” — z tem większą siłą musiały się obudzić.

I oto ten obrażony i upokorzony imperjalizm jest jednym z głównych elementów i pierwiastków współczesnego ruchu państwowo-socjalnego. — Pierwiastek to o zabarwieniu irracjonalnem, ale pochodzenia czysto indywidualistycznego, jak każdy zresztą imperjalizm.

A przecież — wyglądając to może pozornie na paradoks — ze stanowiska uniwersalistycznego pokój wersalski wzmocnia i konsoliduje państwo Niemieckie. Przedewszystkiem Rzesza stała się państwem wyłącznie narodowem, gdyż odsetek mniejszości narodowych jest znikomym małym, a to umożliwia idealną państwową zwartość, — następnie padły wszystkie trony dawnych państw związkowych, tem samem nastąpiło ujednostajnienie administracji; wkońcu w miejsce nerwowego i gorączkowego rozprószenia otwarta została droga do rozumnej, wewnętrznej konsolidacji.

I narodami rządząc pewne prawa i narodom Parki przędąc ich nie żywota, a z przeznaczeniem walczyć byliby szaleństwem. Naród niemiecki nie jest narodem-młodzieńcem; — zagadnienie urbanistyczne współczesnych Niemiec, niezwykle koncentracja ludności po miastach, stale malejąca populacja, hipertrofia wielkiego przemysłu — wskazują, że naród to o silnie siwiejących skroniach.

By Niemcy współczesne odmłodzić, trzebaby je chyba w rozwoju kulturalnym cofnąć o kilka generacji wstecz, wyludnić miast i zagasić las dymiących kominów fabrycznych.

Jeśli Niemcy współczesne chcą popatrzeć prawdzie w oczy, jeśli chcą dostosować bieżące życie do swej struktury społecznej i gospodarczej, wówczas muszą dojść do wykładni uniwersalizmu, który daje wewnętrzną konsolidację i umiar, a który żąda przekreślenia i wyrzeczenia się imperjalizmu.

Zbudować zaś nowoczesną państwową konstrukcję uniwersalistyczną mogłyby Niemcy tem łatwiej, jeśli się zważy, że cechuje je poszanowanie autorytetu i zmysł organizacyjny.

Narodowy socjalizm współczesnych Niemiec zerwał z indywidualizmem koncepcji parlamentarnej, zburzył całą budowę demokracji reprezentacyjnej i stanął na rozdrożu; może on pójść nowymi drogami uniwersalizmu, lub też może nawrócić raz jeszcze do indywidualizmu autoramentu imperjalistycznego. Jeśli pójdzie on dawnymi, utartymi szlakami, to nawrócić ten nie przyniesie narodowi niemieckiemu ani zwycięstwa, ani szczęścia, bo nikomu nie wolno bezkarnie przemieniać dziejowych kart księgi przeznaczeń.

Nie tylko w Rosji Sowieckiej, w faszyzmie Italji i narodowym socjalizmie Niemiec, ale także w całym szeregu innych państw — został przełamany lub conajmniej poważnie zachwiany indywidualizm konstrukcji Rousseau i Monteskiusza.

Państwa są w gorączkowem poszukiwaniu nowych form ustrojowych. Nie wszystkie jednak, co przychodzi do głosu, odpowiada koncepcji uniwersalistycznej; zbyt długo indywidualizm opanowywał umysły, by łatwo ustąpił z pola walki; powraca on mimo swych kłesk w różnych postaciach, nie raz w dziwnych kombinacjach z pierwiastkiem uniwersalistycznym.

Lecz zgoda między niemi jest niemożliwa, bo uniwersalizm — to wiara w państwo, naród, społeczeństwo, to wiara w autorytet, rząd i elitaryzm, a indywidualizm — to krytyczny relatywizm, to stała analiza i splot zastrzeżeń. Współczesny zaś świat społeczny — to jakgdyby pęk tych dziwnych półtonów dnia i nocy, ciągłego zmagania się uniwersalizmu i indywidualizmu.

Jednakże pewnem jest, że czasy wyłącznych rządów indywidualizmu dobiegają końca, bije godzina uniwersalizmu.

W najbliższych dniach ukaże się nakładem F. Hoesicka książka posła Teodora Seidlera p. t. **Jednostka — Państwo — Rząd**. Artykuł powyższy złożony jest z fragmentów, wchodzących w skład tej książki.

²⁾ Mussolini: Mowy. Str. 129.

³⁾ C. Schmitt: Parlamentarismus. Str. 89.

⁴⁾ Mussolini: Mowy. Str. 96.

⁵⁾ Mussolini: Mowy. Str. 74.

JAN DÜRR

DZIENNIK PODRÓŻY WYSPIAŃSKIEGO PO SZWAJCARJI I FRANCJI

ROMANTYCZNA PODRÓŻ

W pierwszą podróż zagranicę w roku 1890 wniósł Wyspiański całą swą młodość, wszystkie jej niewyżyte siły i ogromne bogactwo natury, wiecznie rozdrażnionej w kraju pesymizmem otoczenia. Chciał odetchnąć szeroko atmosferą wolności, oddać się swobodnie przeżyciom estetycznym.

Podróż jego, pomimo że była zupełnie nowoczesną drogą huku, dymu i szybkości, jednak miała w sobie jeszcze coś z wypraw poetycznych, jakie przedsięwzięli romantycy. Wyborem drogi jego, poprowadzonej śladem prawdziwie romantycznym, kierowały reminiscencje z dzieł Byrona, Schillera, Krasińskiego i Słowackiego.

Wojazd do krajów poetycznych był od czasów Byrona dążeniem wszystkich, którzy romantyzm chcieli wprowadzić w swe życie. Do takich krain należały, oprócz Wschodu, o którym Wyspiański marzył: Włochy, Szwajcaria i — katedry gotyckie.

Pielgrzymując do nich, spełniał Wyspiański najpiękniejsze sny i plany swej romantycznej młodości. Wydawało mu się, że jest średniowiecznym, zapisanym do cechu, artystą-rzemieślnikiem, wędrującym z miasta do miasta, aby w warsztatach sławnych mistrzów (którmi były dla niego muzea) podpatrywać tajemnice ich sztuki, śnić, że jest samotnym, błędnym rycerzem z epoki, której wspaniałej wizji doznał w katedrze w Reims (opisał ją w liście do Rydla). Podróżował w radosnym nastroju; napotykanym pięknym kobietom wręczał bukiety kwiatów.

Ulubionym tematem romantycznym było średniowiecze, świat najcięższych przygód legendowych, a symbolem jego — katedra gotycka. W pojęciu romantyzmu, zwłaszcza niemieckiego, znanego poecie ze szkoły, katedra gotycka, oglądana w noc księżycową, to niemal idealny krajobraz. Jak Wyspiański polował na te romantyczne wrażenia, dowodzi list z Chatres (do Rydla, z dnia 8 czerwca 1890 r.): „Rozgorączkowany byłem ciekawością i chęcią jak najprędzej poznać katedry. Według obliczenia godzin kolejowych, miałem stanąć na miejscu o pierwszej w nocy, a że noc była widna pełnią i bladym światłem księżyca, więc czas zapowiadał się dobrze”.

Psychika romantyczna Wyspiańskiego sprawiła, że podróż, planowaną dla celów naukowych jedynie do katedr gotyckich we Francji, postanowił poprzedzić zwiedzeniem Włoch północnych i Szwajcarii. Pierwsza podróż artysty zagranicę musiała objąć i kraj, którego czar romantyczny odkryła pani de Staël w „Korynncie” — i kraj „Nowej Heloizy” Rousseau’a, „Childe Harolda” Byrona, poezji Stowackiego.

Przewodnikiem naukowym w drodze przez Włochy, w czasie zwiedzania Wenecji, Padwy, Werony i Medjolanu był mu jeden z mistrzów polskiej prozy romantycznej — Józef Kremer. „Podróż do Włoch” Kremera otwierała Wyspiańskiemu drogę do skarbów sztuki włoskiej. Z jego pojęciem stylu gotyckiego (zaczepniętym z „Listów z Krakowa”, epistola 23) pojechał do Francji.

Z podróży Wyspiańskiego w r. 1890 zachował się, obok listów, częściowo opublikowanych, nieogłoszony dotychczas drukiem dziennik artysty (w zbiorach krakowskiego Muzeum Narodowego, nr. inw. 135044, Dz. p. 7267). Obejmuje on lakoniczny spis miejscowości, zwiedzanych w Szwajcarii oraz obszerne notatki z wędrowki po Francji, dotyczące głównie katedr.

Jest to mała, poprzeczna książeczka (14,3 x 8,8 cent.) o 102 stronicach, oprawiona w szare płótno. Mieściła się wygodnie w kieszeni turysty obok niedostępnej lornetki.

Wyjmuje ją artysta w czasie postoju w gospodach, w chwilach odpoczynku po zwiedzeniu kościołów, na ławce w parku lub w wagonie kolejowym, aby pomieścić uwagi o formach architektonicznych zwiedzanych budowli, o cechach artystycznych poznanych zabytków sztuki, aby zanotować swoje bogate wrażenia i rozmyślenia.

Notatki robione są ołówkiem, bardzo pospiesznie, bez znaków przestankowych, które zastępują poziome kreseczki, na gorąco, ledwie że czytelnie, bo tylko dla siebie — rzeczy nieraz najintymniejsze, wyjawione w sposób bezpośredni. Te zwierzenia posiadają duże znaczenie, bo odkrywają nam ciekawie artystę. Są świadectwem jego żarliwego zainteresowania się sztuką i literaturą — jego poglądów społecznych (wizje w Reims) jego wrażliwości na piękno kobiet i dzieci.

Jego fachowe opisy dzieł sztuki, chociaż często bardzo trafnie ujmują wartość estetyczną i styl zabytków, nie wychodzą jednak poza powierzchowny opis — i dzisiaj są oczywiście przestarzałe wobec wielkiego postępu metod wiedzy o sztuce. Główną wartością dziennika stanowi romantyczne odczucie sztuki, które dzisiaj umiemy cenić, jako pełniejsze, niż wszelkie schematy „metody”.

Na podstawie tych notatek dziennika, ujętych w krótkie zdania *alla prima* (prze-

strzostwa. Zabytki sztuki w jego opisie w Dzienniku żyją i odczuwają niby ludzie; niema w nich nic martwego. Za kilkanaście lat te posagi żyjące wystąpią nawet w roli — postaci scenicznych dramatu, wezmą udział w akcji w „Nocy listopadowej”, w „Akropolis”. Ten pomysł, uważany za najbardziej swoisty Wyspiańskiego, ma źródło w prozie Kremera, który pisał (List 21): „Wszak na naszej północy chodzą wieści o dziwnych obrazach malowanych; w zaśnieżonych ramach bieleją jakieś postaci zapomniana, obraz spłowił, przypylony o omalże dających zarysach; mówią też ludzie, że są pewne dni i godziny nocne, gdy rozświetla się barwy, gdy postać ożyje, odtchnie, wystąpi z ram i odrodzona wdziękiem cudownym rozpowie dzieje swoje; lecz usłysz, obaczy postać uroczą tylko ten, kto w lasce, kto rozumie mowę duchów — kto ma oczy ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu. Tak, bądź w lasce, znaj się na mowie duchów, zapadnij w tych gruzach ciałem sercem, całą myślą, a ze starych, spłowiłych rozsypek wystąpi piękności genjusz, i obaczysz ją na własne oczy twoje — ogromną, niebotyczną”. Wskazówka, zawarta w tych zdaniach, pobudziła wyobraźnię Wyspiańskiego.

Styl prozy Wyspiańskiego, jak twierdzą przyjaciele poety, ma być odbiciem jego języka mówionego. Ale posiada on i określone źródło literackie — w prozie Kremera. Z zasobów językowych Kremera czerpał Wyspiański obficie; takie same miał upodobanie językowe. W języku Kremera, tego syna szewca krakowskiego, później profesora filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, zakute są kształty mowy krakowskiej, które stały się podstawą dla krakowianina także z krwi i kości, urodzonego również w warsztacie rzemieślniczym, Stanisława Wyspiańskiego.

List był najbardziej typową formą wypowiedzenia się Kremera i ta forma wraz ze swymi właściwościami: codziennością mowy i apofraficznością wpłynęła na prozę Wyspiańskiego. To, co było u Kremera wynikiem formy literackiej, zostało przez Wyspiańskiego przyswojone, jako stały składnik jego prozy. Tym językiem napisał dziennik podróży i studjum o Hamlecie; są to jakby jakieś relacje prywatne, składane z całą bezpośredniością i pośpiechem listowym.

List był najbardziej typową formą wypowiedzenia się Kremera i ta forma wraz ze swymi właściwościami: codziennością mowy i apofraficznością wpłynęła na prozę Wyspiańskiego. To, co było u Kremera wynikiem formy literackiej, zostało przez Wyspiańskiego przyswojone, jako stały składnik jego prozy. Tym językiem napisał dziennik podróży i studjum o Hamlecie; są to jakby jakieś relacje prywatne, składane z całą bezpośredniością i pośpiechem listowym.

Podobnie postępuje Wyspiański. Opisawszy np. słynne „coś jak nasz Tynieć” opactwo w Jumièges, oddaje się wyobraźni i opowiada legendę o rozpustnym opacie. W katedrze w Reims doznaje wizji: widzi oszalałe tłupy, pędzące, aby zerwać korony z głów władców „za naszą krew i pot pracy naszej”; w notatkach z podróży do Strassburga rozwija długą „baśń o dumie i miłości”, która może stanowić odrębny, samostojny utwór literacki.

Podobnie postępuje Wyspiański. Opisawszy np. słynne „coś jak nasz Tynieć” opactwo w Jumièges, oddaje się wyobraźni i opowiada legendę o rozpustnym opacie. W katedrze w Reims doznaje wizji: widzi oszalałe tłupy, pędzące, aby zerwać korony z głów władców „za naszą krew i pot pracy naszej”; w notatkach z podróży do Strassburga rozwija długą „baśń o dumie i miłości”, która może stanowić odrębny, samostojny utwór literacki.

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Podobnie postępuje Wyspiański. Opisawszy np. słynne „coś jak nasz Tynieć” opactwo w Jumièges, oddaje się wyobraźni i opowiada legendę o rozpustnym opacie. W katedrze w Reims doznaje wizji: widzi oszalałe tłupy, pędzące, aby zerwać korony z głów władców „za naszą krew i pot pracy naszej”; w notatkach z podróży do Strassburga rozwija długą „baśń o dumie i miłości”, która może stanowić odrębny, samostojny utwór literacki.

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

GOTTHARDBAHN

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

Kremer ma metodę antropomorfizowania nie tylko przyrody, co jest właściwe wszystkim romantynom, ale i zabytków sztuki. Słynna jest jego rozmowa wieczny Krakowa i kamienia w rynku (List 23); rokokowa kamienica jest dla niego: „wyfiokowana niby dawną dworską galantką; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale u przejma, zgrabna (List 26) faun z brązu „tańczy jak ten wirus mały” (List 21). Metodę antropomorfizowania posługuje się i Wyspiański stale, doprowadzając ją do mi-

KAROL
IRZYKOWSKI

O SWOISTĄ MORALNOŚĆ LITERACKĄ

I.

Są narzekania na styl Pomirowskiego.*) W samej rzeczy bywa on wadliwy, balamutny, i niepotrzebnie wielosłowny. Zwroty takie jak „mam wrażenie” „nie należy zapominać” nie są wybredne, takie zaś jak „pielegnacja” lub „wpływa na obniżanie” (za miast „obniżać”) albo często „posiada” zamiast „ma” — są niedopuszczalne. Jest w tym stylu sporo dwuznaczności i niedociągłość jak np. „Ten uczuciowy stosunek do dziejących się spraw wydaje się bezpośrednio sprawdzianem ważności bytu” (Walka str. 7) zamiast: sprawdzianem tego co w bycie ma być ważne. Albo: (Nowa Literatura str. 201) „Trudno sobie wyobrazić, żeby autor (Stern) po postawieniu sobie tego zagadnienia — buntu indywidualności przeciw normie życia zbiorowego — nie usiłował go rozwiązać w płaszczyźnie przeznaczenia jednostki”. (Wogóle „płaszczyny” i „podejścia” należałoby na pewien czas wyrzucić ze słownika krytyckiego). Autor czasem, jakby dla żartu, dodaje od siebie w takich wypadkach słowa „rzecz jasna, rzecz prosta”. Np. tamże: „Rzecz jasna że zagadnienie zbrodni, popełnionej odruchowo, choć pod naciskiem rewolucjonizującej idei, nie mogło być wyczerpane w sferze idei. (Bo) Orda strzelał do idei, ale zabił... człowieka”. Dopiero z dalszych zdań widać, że „wyczerpane w sferze idei” ma znaczyć tyle co ideowe, a nie np. psychologiczne wyjaśnienie zbrodni. Albo (Nowa lit. str. 112): „Pod (lepiej: przez) konstrukcją rozumie ten stopień opanowania formy, która (chyba: który) pozwala częściom i fragmentom życia definiować się faktem jego całością”. Chyba ma to znaczyć: pozwala... zlewać się w całość? Ale następne zdanie jest już zagadką: „W „Lencorze” mamy do czynienia z taką właśnie obrazową definicją tematycznych przebiegów”. Zagadką wyjaśnia się wprawdzie zaraz: dwa światy, podziemny i nadziemny, pracy i kapitału, przecięte powierzchnią ziemi, splecione z sobą w ściąsku walki i wzajemnej zależności, — ale tem mniej uzasadniony wydaje się wyraz „definicja”, chociaż świadczy on o śmiałym poszukiwaniu nowych określeń dla faktów literackich.

I świadectw takich jest w dziele Pomirowskiego sporo — mniej udanych, ale i bardzo udanych, czasem jedne obok drugich. Tak samo jak poeci wołają o odnowienie metaforyki, szukają nowych „walorów”, chwytów i skojarzeń, — my krytycy dążymy do nieustannego odnawiania aparatu krytyckiego, do utrzymywania go w stanie jak największej chwytliwości i wnikliwości. Krytyka ma swoją metaforykę. Takie zwroty, jak „wytrzymałość opisu” lub „równość oddechu” (twórczego), albo „krótkie spięcie” (efektu), przyjęte u nas od pewnego czasu powszechnie, były równocześnie szczęśliwymi odkryciami i szczęśliwymi nazwami. Daremnie Witkiewicz wzywa do spetryfikowania słownictwa krytyckiego; jest ono wciąż płynne, co prowadzi zarówno do błędów jak do zdobycy. Słownictwo krytyckie Pomirowskiego jest ryzykowne i giętkie. Krytyk nie może czerpać z Lindego, czerpie zewsząd. Sposób używania wyrazów „prowokować” lub „atakować” przeszczeplenia Pomirowski do polskiego słownictwa z innego języka, byle sprostać pewnej rzeczywistości („modernizm prowokował wzruszeniowość człowieka”). I nie byłby dobrym pisarzem, gdyby mu raz po raz, w zapale analizy, nie wychodziły z pod pióra określenia i sformułowania arcytrafne. Np. gdy charakteryzując pierwszą część „Niedobrej miłości” powiada, iż jest tam „Świat w stanie zamaskowania” świat „ludzi czekających na rolę”. Rozpatrując dwie główne dzisiejsze formy literackie, mówi, że powieść psychologiczna monografią a rebours, bo dąży do odkrycia niezwykłości w zwykłym człowieku, gdy monografią odtwarza codzienny realizm w człowieku niezwykłym. Przykładów takich można przytoczyć mnóstwo, ale trzeba już wkroczyć w treść.

*) Leon Pomirowski: „Walka o nowy realizm”, wstęp do „Nowej Literatury w Nowej Polsce”. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

II.

Od czasów Brzozowskiego i Feldmana obie książki Pomirowskiego są pierwszą literaturą rozumowaną. Ograniczając jak najbardziej, może aż zanadto, stroną anegdotyczną, stara się wszystkie ważniejsze zjawiska objąć siatką jednego systemu interpretacyjnego. Ta siatka nie jest przyniesiona z zewnątrz, nie jest, na pozór żadną gotową doktryną społeczną, ani filozoficzną, czy estetyczną; autor wysnuwa ją ze zjawisk samych, i to w sposób dosyć przekonujący. Istotnie ta literatura, która się dzieje dziś w Polsce, może być nazwana „nowym realizmem”. Jeżeli mimo to pierwsza z tych książek, zawierająca wstęp filozoficzny do drugiej, nosi tytuł: „Walka o nowy realizm” a więc twierdzi, że się o ten realizm dopiero walczy, to ja rozumieję to jako zastosowanie zasady „operari sequitur esse” — to znaczy: rób co już robisz, rób coraz lepiej, słuchaj instynktu, który cię już prowadzi, rozwini go na wielką skalę. Pomirowski odnosi się z wielką aprobatą do dzisiejszej literatury polskiej, jest zadowolony z drog na jakie weszła, byle je sobie w pełni uświadomiła. Bo realizm taki, jaki panował w epoce pozytywizmu, był słabo ufundowany; łatwo mógł go zmieść modernizm (Młoda Polska), jakkolwiek i on zwracał się nietylko przeciw realizmowi ale przeciw dydaktyzmowi i przeciw nienormalnym warunkom rozwoju literatury wogóle (Walka 34/5). Doskonałe są te karty w „Walce” gdzie autor nawiązuje do starganych nici z przeszłości i uczy cenić tę przeszłość.

Odrodzony realizm współczesny zawiera w sobie nietylko „realizm opisowy — zmysłowy”, lecz i psychologiczny, a tego właśnie przedtem brakowało. (Według tych dwóch gatunków dzieli autor w swej Nowej Literaturze powieściopisarzy.) Chodzi o „pogłębienie procesu samopoznania”, a w tym celu potrzeba „zdobywać nowe realia psychiki i nowe kryteria psychologii”, oczywiście i jednostkowej i socjalnej. Ten nowy realizm to jakby renesans idej „powrotu na łono natury”, lecz na wyższym stopniu spirali dziejowej. Dziś nie chodzi o to, żeby ominąć cywilizację i jej zawiłości społeczne, lecz żeby się przez nie przedrzeć (Walka 77), żeby opanować rzeczywistość zewnętrzną i wewnętrzną, — oczywiście w literaturze, przez jej przetwarzanie.

Ale nowy realizm stawia autorom wielkie wymagania. Nie wystarczy tylko talent, skoro „życie samo jest dziś pełne talentu”; społeczna odpowiedzialność autora jest dziś znacznie większa; „dla zdobycia tematu trzeba dziś staczać walki z życiem”, gdyż nie wystarczy również samo „okradanie rzeczywistości” (tandeta reportaży). Z namiętną wymową stawia tedy Pomirowski „zagadnienie nowej moralności artystycznej” (Walka 81) — ujarzmić sprzeczności, wykrywać „wzburzać wizję świata”, od bezpłodnego relatywizmu dążyć do „nowego absolutu”.

Na rzecz nowego realizmu anektuje Pomirowski także futurizm i irracjonalizm, ale głównie urzeczony jest zdobyciami psychologii podświadomości i przywiązuje do nich wielką, może za wielką wagę. Pod kopułę realizmu — jak się pokazuje — można doprowadzić wszystko. Autor rozdyma pojęcie realizmu i czyni to poniekąd rozmyślnie. Realizm — to przecież zawsze tylko „oddawanie” zająć faktów, czy to zewnętrznych czy duchowych. Nawet Chwistek ze swojemi czterema rzeczywistościami nie wychodzi poza realizm. I jak się wkońcu, choć nieoświeconie wyrażnie, okazuje, literatura realistyczna jest w oczach Pomirowskiego jakby stadium przygotowawczym. Bo przecież wkońcu literatura ma być „obrazem nowego bytu”, celem jest — budowanie z faktów „rzeczywistości ponadfaktycznej”, „nieustanne wychodzenie poza zastaną realność rzeczy”. Współczesny realizm „nie poprzestaje na samych faktach, żąda pełni i absolutu, szuka własnej idei...” Ale w ten sposób już się wychodzi poza realizm. To jest już poezja ziszczająca; powinna ona być już teraz wprawiona, wcielona w poezję badającą, dająco, przegotowawczą, jako czynnik kontrolny i regulujący, ale jest czym innym — nie jest realizmem.

Pewne pomieszanie tych dwóch, że tak

powiem, instancją, nie czyni zresztą uszczerbku słusznej, a doskonale rozwiniętej i opracowanej koncepcji Pomirowskiego co do realizmu.

III.

Dla ugrontowania swojej tezy o nowym realizmie, Pomirowski podaje głęboką analizę pojęcia współczesności. Spotyka się w tem przedsięwzięciu poniekąd z Tadeuszem Peiperem, który w swoim kapitalnym „Teody” dorabiał teorię do bezładnych poczynań młodej awangardy poetyckiej. Ale gdy Peiper, jako że sam uczestnik tejże awangardy, rozsiada się na swojej terazniejszości z poczuciem monopolisty — monopol jazdy na krze! — Pomirowski przystępuje bez pychy do tych rozważań. I nie chodzi mu o to, aby uzyskać ścisłą definicję współczesności, taką jaką się przygotowuje na seminarjach filozoficznych, lecz o to aby poprzez to pojęcie ujrzeć zagadnienia twórczości, rzucić na nie światło — wogóle ujrzeć to co jest ważne. Współczesność i twórczość — coś mogą mieć z sobą wspólnego? Zdanie autora mają, — to mianowicie, że chwila terazniejsza jako łącznik między przeszłością a przyszłością, zawiera także tajemnicę zaszczepiania się tego, co jest nowe, na tem co jest stare. Bo skądże się bierze to co jest nowe, co jest twórcze? Na to pytanie — a jest to pytanie cleackie — odpowiedź autora brzmi: z walki. Toczy się „matężona walka — przeciwko życiu o życie, i każda dziedziną i każdy człowiek na swoim terenie w swój sposób tę walkę toczy, albo doznaje jej skutków”. Toczy się walka na mostku między...

Autor chce to zajście bojowe uchwycić — „na gorącym uczynku twórczości”. Nie da się „łudzić efektywnym mirażem tego co modne. „Umieć wytrzymywać w czasie wewnętrzne napięcie! Zwyciężyć czas napięciem! — znaczyłoby to dać mu treść konkretną...” Przypomina się tu aforyzm Hebbela: „Życie jest wewnętrzny skokiem tygrysim”. Pomirowski zapuścił się w tych poszukiwaniach na pobojowiska myśli, opuszczone przez Brzozowskiego. Interpretując bergsonowskie idee o tworzeniu, mówi Brzozowski o tem, iż trzeba o niem myśleć „w kategoriach tego co nie istnieje... wzywać się świadomością w nasza... irracjonalnością iście, i to jest jedyna forma myślenia o twórczości, to nagłe, bezwzględnie swobodne, nie wyrozumowane ciśnięcie się naprzód całej naszej istoty w próżnię; zaśnięcie w sferze samowoli i dźwignięcie z niej ku sobie świata”. (Legenda str. 236). Przytaczam te słowa nie celem wykazania jakichś naśladownictw, lecz z głębokiej satysfakcji, iż dwa umysły, gdy o jednej sprawie usilnie myślą, dochodzą do podobnych — nie powiem: wyników, tu bowiem nigdy nie ma wyników — lecz widoków. Kiedyindziej ten sam Brzozowski nazwie ten sam wysiłek czynem Münchhausena, który za własny warkocz wyciąga się z wody. I gdy dalej powiada Brzozowski: „To, co się pragnie stworzyć, staje się siłą, która sama siebie stwarza” — zaznaczając zaraz, iż tak tworzył romantyczny, — znowu znajdując do tego ciekawą analogię i jakby uzupełnienie u Pomirowskiego, tam, gdzie mówi o potrzebie odkłamania romantycznego hasła „mierzący siłę na zamiary” (Walka str. 16) „Jeżeli w grę wchodzi twórca — mówi — to nie może być mowy o istnieniu zamiarów poza siłami... Siły same nigdy nie przychodzą, trzeba po nie sięgać wołą nowych zdobywczy... Literatura dzisiejsza... posiada swój własny ładunek romantyczny”.

Teraz potrzebna by mi była jako znak pisarski ta ręka ze wskazującym palcem, o której mówił — zdaje się — Peiper; bo wskazałbym chciał młodym na to, co Pomirowski w związku z tem wszystkim mówi o metaforze. Dzieli on autorów na odwórców i twórców; dla pierwszych metafora jest tylko „stylizycznym narzędziem do przenoszenia cech jednej rzeczywistości w drugą, na tej samej płaszczyźnie uczuć i myśli; dla istotnych twórców, polem dla metafory jest cała rzeczywistość; trzeba tę rzeczywistość przeorać i pokonać, aby zdobyć nową przenosić, t. zn. nową twórczą wizję świata”. „Zastane fakty, pojęcia i słowa stają się dla nich murem do przebicia”.

Tak jest, i np. w paradoksie, w nowem użyciu starych przysłówi i słów, można na małą skalę obserwować to zajście żywcem.

Jak cechą dobrej muzyki jest, że podnieca do snucia własnych myśli, tak cechą dobrej książki jest, że zachęca do siebie samego, że wprowadza w świat wielkich rezonansów. Kto się dobrze zaczyta w „Walce” — a jest to książka głównie dla literatów — i poczuje idący z niej doping, że chce na jej marginesie sam myśleć, skonstruuje swoje poczynania literackie z tablicami tutaj zawieszonemi i zechce sam tworzyć... Może sobie nawet nie zda sprawy z tego, że odczuwa w autorze — świadka.

IV.

Ale takie rozmyślania na temat sumienia twórczego są może zbyt ogólnikowe, są alkoholem dla duszy. Jaka jest ich próba konkretna, pozytywna? Widzę ją najprzód w stanowczym postawieniu tezy realizmu. Realizm to rozszerzony co prawda, ale już sama nazwa daje barwę, i to niemylną. Nawet wloty metafizyczne, nawet nawiercania psychologiczne, traktowane będą jako coś twardego, służebnego lub opornego, włączonego w system walki opanowującej przyrodę zewnętrzną i wewnętrzną. Nicpróżno mówi Pomirowski: „Jeżeli w poezji romantycznej objawy nadprzyrodzoneści były dążeniem do przedłużenia świata realnego, to w obecnej literaturze takim przedłużeniem jest sprowadzanie wszelakiego mistycyzmu do psychofizycznych korzeni”. Dalszą konsekwencją tej postawy ma być zainteresowanie się losem zwykłego człowieka, w którym odkrywa się niezwykłości. Ale zwykle go nie w tym sensie, żeby tak jak w doktrynie komunistycznej jednostka rozpuszczała się w masie; przeciwnie jednostka musi być na pierwszym planie, jej los jest symboliczny dla masy, bez jednostki nie ma zwłaszcza dramatu. Dziś już i literaci sowieccy nabierają co do tego nowych poglądów, i nasz uniwersalista J. N. Miller też zainteresował się już duszą indywidualną, — tylko nasi komuniści nie zdążyli jeszcze nabyć najnowszych wydawnictw rosyjskich i nie zatrabili jeszcze na odwrót.

Ładunek romantyczny dzisiejszości zawarty jest według Pomirowskiego „w dążeniu do opanowania materialistycznych motorów współczesnego świata”. Rozumiem to słowo „materialistycznych” w sensie marksowskim, to znaczy, iż chodzi o odkłamanie tego co człowiek sam zawiązał, nie poznając w takich tworach socjalnych jak prawo, rodzina, naród, religia, — tworów swego własnego ducha. Uświadomienie pod tym względem jest zawsze jeszcze ważniejsze od uświadomień psychoanalitycznych, których wagę — powtarzam — Pomirowski przecenia. I tutaj znajduje się Pomirowski znowu na — nicuniknionych — śladach Brzozowskiego. Ta jednak jest różnica, że gdy Brzozowski, zwłaszcza w „Legendzie” traktował pracę literacką jako coś wtórnego, pochodnego, nawet pasorzytnego, Pomirowski uznaje się za solidarnego z literatami, przywraca tej pracy godność nawet niezależną, gdy np. mówi: „co technika działała na zewnątrz, to literatura odrabia na wewnątrz”. Nie chciałbym zaszczodzić Pomirowskiemu, ale powiedziałbym, że to właśnie jest klerkostwo w najlepszym tego słowa znaczeniu.

W swojej poprzedniej książce „Doktryna i twórczość” Pomirowski obstawał wprawdzie za prawami twórczości literackiej jako rzemiosła, — teraz poszedł dalej. „Pisarz musi być nietylko wyrazicielem, ale i intelektualnym organizatorem życia”. Z tego co Pomirowski mówi np. na str. 22 i 23 „Walce” wynika, jak mi się widzi, co następuje: Pisarz od „studiów w terenie” od zbierania nagich faktów i wyginiatania z siebie metafor, przechodzi do poznania wszystkich głębszych prawd życia, — a są one bez końca, — jakoteż do psychofizycznego doskonalenia się. To go niezmiernie wciąga, jest jak dotykane się ognia. Nie ze „społeczniokowskiego rygoru” lecz według konsekwencji własnego rzemiosła, pisarz musi pójść tą drogą, którą mu wskazywał Brzozowski: do swojej swoistej odpowiedzialności za całość życia. „Wieża z kości słoniowej” jak się okazało, ma wyloty, które wyprowa-

dają poza nią. Poeta może łatwo wdepnąć w politykę. Dawniej zdarzało się coś takiego z niektórymi pisarzami; Szajnocha od pisania dramatów historycznych przeszedł do historii, Szujski również, i to nietylko do historii, bo nawet do czynnej polityki.

A propos twórczości Staffa mówi Pomirowski, że „akcja poety jest alegorią istnienia” (Walka 43) a w „Literaturze” (str. 16) dodaje, że „praca poety jest najklasycyzniejszym, bo najgłębszym symbolem pracy ludzkiej wogóle”. W „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego widzi Pomirowski tragiczną rolę prawę o prawa twórczości artystycznej, a pisząc o berentowych poszukiwaniach ta-

jemnic kompozycyjnych twierdzi, iż były one dla Berenta „równoznaczne z poszukiwaniem tajemnicy procesów życiowych wogóle” i że nie jest to „żadne estetyzowanie”. I dalej, znowu a propos Berenta, robi głęboką uwagę, że „walka artysty ze światem — przypomina walkę wytwórcy z konsumtem o stosunek podaży do popytu i o cenę wartości duchowych”. Tedy również taka walka, jaką za czasów Młodej Polski prowadzono w imię „sztuki dla sztuki” toczyła się o duszę ludzką, o duszę „konsumenta dyskwalifikującego samą potrzebę artystycznej funkcji” i była „walką przeciw życiu o tegoż życia głębszy sens”.

Mamy tutaj — po gruntownej książce Suchodolskiego o Brzozowskim — drugą co prawda tylko przygodną, próbę nowoczesnego pokolenia, by zrewidować rachunek wielkiego mistrza i otrząść się z pod jego hipnozy. Jakże piękne to jest, iż przy tej sposobności reprezentant nowej literatury rehabilituje — nie ludzi pokolenia poprzedniego, lecz zasady, którym hołdowali. Śnadź współczesność dosyć już okrzepła, by wymierzać sprawiedliwość.

O „Nowej Literaturze” Pomirowski napisał w osobnym artykule (krótszym niż ten).

Dalsze dokumenty w sprawie

Makryny Mieczysławskiej

W roku 1923 wydał Ks. Urban swą główną pracę o Makrynie Mieczysławskiej p. t. *Makryna Mieczysławska w świetle prawdy*, w której to pracy zakwestjonował świętość przełożonej bazylianki w Mińsku, udowadniając szeregiem dokumentów jej postępowanie oszukańcze. Obecnie po przeszło 10 latach w majowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* ogłasza ks. Urban Pokłosie o pracy o „*Mieczysławskie*”, zawierające dodatkowe materiały, odnalezione już po opublikowaniu tamtej rozprawy. Dzieli je autor na pięć części stosownie do rodzaju i przedmiotu dokumentów.

W rozdziale, zatytułowanym *Pierwsze zeznania Mieczysławskiej w Poznaniu*, podaje autor analizę protokołu zeznań Makryny, ogłoszony w *Zapiskach bazylijskich* w 1928 roku. Protokołów, sporządzony w roku 1845 w Poznaniu przez księży Thinela i Urbanowicza, obejmuje zeznania matki Makryny o rozpedzeniu przez Siemaszkę zakonnic mińskich oraz o ich cierpieniach przez lat osiem, kiedy to poddawano je ciężkim pracom w klasztorze czernie w Witebsku, następnie przy budowie pałacu biskupiego w Połocku oraz w miasteczku Miadzioll, gdzie plantowały grzyby po klasztorze karmelickim i budowały ołciny dla apostaty Michajłowicza. W czasie tych wszystkich ponowierców mniszek miały być narażone na niezwykle twarde warunki bytu, niedostatki i pokalanie czystości. W miasteczku Miadzioll, które leży w jeziorach na wyspie, mniszki miały pławić w wodzie, skutkiem czego trzy z nich zatęły.

Obok tego protokołu poznańskiego jest jeszcze zeznanie matki Makryny złożone w Rzymie a dotyczące tych samych wypadków męczeństwa. Ks. Urban konfrontując te dwa dokumenty, wykazuje duże różnice w oświadczeniach badanej, i to tak wielkie, że można śmiało uważać je za wręcz kłamliwe. Pomieszczenie nazwisk zakonnic a co gorsza niegodność żadnego z nich ze znanymi z innych pewnych i autentycznych źródeł historycznych, dowodzi, że są one wymyślone całkowicie przez rzekomo przełożoną i świętą. Dotąd jednak pozostało tajemnicą zupełnie niewyjaśnioną, kto przewodził Mieczysławską przez Prusy. Sama ona twierdziła, że wstępowała do dwóch biskupów po drodze: chelmińskiego Sedłaga w Pelplinie i warmińskiego Geritza w Frauenburgu. Ta sprawa oczekuje jeszcze swego wyjaśnienia.

Ks. Urban przytacza następnie dwa listy matki Makryny pisane do wysoko postawionych osób, z których wynika, że była ona niemal zupełnie bez elementarnego wykształcenia. Podając się za przełożoną zakonu bazylianki oraz za osobę pochodzącą ze szlacheckiego rodu, nie znała zupełnie obcych języków, a „po polsku umiała tylko tyle co każda najobszurniejsza kucharka wileńska. Nie wie ona gdzie używać wielkich liter, co zrobić kiedy się jakieś słowo w wierszu nie zmieści, nie zna żadnych piśmarnych znaków, — o gramatyce i stylu lepiej nie mówić”.

Podane następnie świadectwo lekarskie z oględzin, sporządzone przez dr. Kramarkiewicza i Jagielskiego w Poznaniu jest zwykłym odpisem, znajdującym się w Bibliotece Kórnickiej, przez nikogo nie poświadczonym, a gdzie jest oryginał niewiadomo. Poza to odpis ten nosi datę oględzin o trzy i pół roku późniejszą od momentu pobytu Makryny w Poznaniu t. j. datę 19 stycznia 1849 r.

Ks. Smolikowski, historyk Zgromadzenia ks. Zmartwychwstańców, który początkowo powstrzymywał się od wyjawienia zbyt zdecydowanej opinii o matce Makrynie, w drugim wydaniu swej Historii Księżąt Zmartwychwstańców stwierdził, że cały szereg osób starał się ustalić prawdziwość opowiadań Mieczysławskiej, gdy rozszła się sława jej męczeństwa i świętości. Między innymi czynili to Biskup Borowski i Wilhelm Radziwiłł. Badania te jednak wypadły bardzo nieprzychylnie, wręcz kompromitująco.

Ciekawie przedstawia się wyjątek z listu M. Czartoryskiej Karmelitanek, która donosi ks. Urbanowi, że widziała matkę Makrynę 1848 roku, opowiadającą o swych świętych wizerunkach. Miała ona też zwyczaj witać wszystkich w ten sposób: „Będzie Polska z wiankiem albo z jajkiem na Zielone święta albo na Wielkanoc”. Ran pokazywać nie chciała.

W konkluzji ks. Urban podtrzymuje całkowicie swoją przed kilkunastu laty wypowiedzianą opinię o oszukańczej świętości tej prostaczki, być może służącej Bernardynek wileńskich o właściwym nazwisku Wińczowa. Zdumiewające jest tylko jak można było w owych czasach dopuścić się tak wielkich kłamstw i następnie przez dwadzieścia czterech lat zażywać reputacji świętej i męczennicy, otoczonej szacunkiem i czcią przez papieża i najwyższe, rozporządzające ogromnymi stosunkami i środkami, sfery. Nie można oprzeć się wrażeniu, że jednak byli pewni ludzie, którym zależało na takim postawieniu sprawy i którzy nie wyjawiali prawdy. Może zbyt pochopnie początkowo wyrażonem zaufaniem nie chcieli następnie kompromitować samych siebie. W każdym razie pozostaje jeszcze druga kwestja zupełnie otwarta: powódki oszukańczego działania Makryny.

WŁADYSŁAW STUDNICKI

O HISTORJI NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

Odpowiedź p. Malinowskiemu.

Artykuł p. Malinowskiego „Encore un voyage autour de ma chambre” drukowany w nr. 15 „Pionu” przeczytałem przed paru dniami, stąd odpowiedź moja na ów artykuł jest nieco spóźnioną. Jednak ponieważ chodzi mi o wyjaśnienie genezy i rozwoju prądów naszej myśli politycznej, daję odpowiedź na ten artykuł.

Na główny zarzut, uczyniony przeze mnie, że p. Pobóg-Malinowski nie zdaje sobie sprawy z czynników, które u nas przyczyniły się do odtworzenia, spotęgowania lub znacznego osłabienia prądów niepodległościowych, nie znajdujemy nawet wzmianki w odpowiedzi p. Malinowskiego. W artykule moim od *Irredenty do ugody*, napisanym na marginesie książki p. Malinowskiego, zaznaczyłem, że czynnikiem odradzającym dążności niepodległościowe w Polsce było zawsze zachmurzenie się horyzontu politycznego, zwiastującego bliską wojnę między Rosją a jej zachodnimi sąsiadami. Czynnikiem zaś osłabiającym i prowadzącym nieomal do zupełnego zaniku owego prądu, były nadzieje na przeobrażenie państwa Rosji, na ruch rewolucyjny w Rosji. Tych zasadniczych czynników nie uwzględniła w swej pracy p. Malinowski, nie zważając na to, że jego artykuł, nie zważając na to, że jego

ideę za moim narodem” — mówił Snop z Klubu Pickwika. Tego nie mówił, lecz tem się rządził p. Dmowski.

Posługiwałem się cytatami p. Pobóg-Malinowskiego, t. j. cytowałem materiały przez niego częściowo opisane i stanowiące zaświadczenie pierwiastek jego książki.

P. Malinowski, jak wielu mających pretensje do historii, uważa, że dosyć jest porobić wyciągi z dokumentów i starych czasopiśm, znajdujących się w archiwach, jednych zganici, drugich pochwalici, przed opinją swego wybrańca podpisane „był to ryk lwa, nie zaś szczełkanie psa” a już jest się poważnym historykiem.

Działalność posłów polskich w Dumie rosyjskiej jest traktowana pobieżnie. Nie spotkaliśmy tam cytaty z mów i oświadczeń posłów polskich. Autor brał wiadomości z piśmiennictwa, z „Trybuna”, z książki Feldmana „Dzieje myśli politycznej”, tom III, natomiast nie korzystał ze stenogramów sejmowych ani z moich dwutygodników. Żadne z polskich pism nie dawało tak obszernego i krytycznego przeglądu Dumy rosyjskiej i działalności w niej posłów naszych. Wyszła nawet w książkowym formacie broszura około 10 arkuszy druku „Pierwsza Duma Państwowa i działalność posłów naszych”. Nieznajomości owoczesnych stosunków przypisuję piornowianę p. Pobóg-Malinowskiego na Kolo Polskie, że „jako żywe wcielenie wstecznictwa, bronilo się zażarcie przeciw radykalnej reformie agrarnej” (str. 314). Otóż, gdyby ta radykalna reforma agrarna była przez rząd rosyjski przeprowadzona, zniszczonoby tak nasz stan posiadania w ziemiach wschodnich, że z zaboru rosyjskiego zostaloby nam tylko Królestwo Kongresowe, jako teren, który mógł być częścią składową państwa polskiego.

Gdyby p. Malinowski znalazł nie z okładek, przechowywanych w archiwach moje dwutygodniki „Naród a Państwo”, „Sprawa Polska”, „Myśl Polityczna”, „Votum Separatum”, toby wiedział, że po ogłoszeniu za kontyngentem rekrutów i uzasadnieniem przez Komiteta głosowanie Koła Polskiego w tym przedmiocie „winnimy dbać o potęgę Rosji, by nikt nie mógł mieszać się we wzajemne stosunki polsko-rosyjskie”. „Naród a Państwo” wystąpił przeciwko głosowaniu za kontyngentem rekrutów; pisywał już w tem piśmie Tadeusz Gruźewski, przyłączył się do niego Jan Kucharzewski i napisał zjadliwy feljeton z powodu tego głosowania p. t. „Minister poruszył się na krzesle”.

Gdyby p. Malinowski skorzystał z mojej książki z „*Przeżyć i Walkę*”, toby wiedział, że w owym czasie latem 1907 r. Liga Narodowa postanowiła zaniechać wszelkiej agitacji antirosyjskiej a patriotyzm polski odżywać agitacją antipruską. Był to moment najważniejszy, przełomowy w Narodowej Demokracji, wyjaśniający jej stanowisko tak do naszych przygotowań przedwojennych jak i do Legionów w okresie wojny. Z powodu tej uchwały wyszedł z Ligii Zygmunt Makowiecki redaktor i wydawca „Gońca”. Od tego czasu „Gońcie” sekundował „Narodowi i Państwu”, rozsyłał okazyjne numery, przedrukowywał artykuły. 4 numer „Votum Separatum” (dwutygodnik wychodzący w Petersburgu) był poświęcony neoslavizmowi, energicznie zwalczającą akcję słowiańską. Był tam między innymi świetny feljeton Jana Kucharzewskiego o dniach słowiańskich. Numer ten wydrukowany w kilku tysiącach egzemplarzy rozszalał „Gońcie” swoim stałym prenumeratorem. Znaczną liczbą protestów przeciwko oświadczeniu Dmowskiego, głoszącemu „słowiaństwo bez zastrzeżeń” wywołała zresztą zagniewanie jego ze stanowiska prezesa Koła Polskiego i członkostwa Dumy.

Pan Malinowski wyraża się lekceważąco o moich dwutygodnikach, pisząc, że był to organ Partji Państwowości Polskiej, składającej się z 3 ludzi: Władysława Studnickiego, Wacława Studnickiego i Wandy Studnickiej. Gdy zakładałem „Naród a Państwo”, już zrynowałem ze stworzenia w najbliższym czasie Partji Państwowości Polskiej, choć w półtora roku przed założeniem pisma (w 1905 r.) wydałem program, pod którym miałem nadzieję skupić polityczną grupę. W 1906 r. już

przekonałem się, że społeczeństwo polskie nie dojrzało do powołania do życia partji na zasadach tego programu. Partje polityczne są krystalizacją idei i uczuć kursujących w społeczeństwie, że przed powołaniem do życia organizacji politycznej trzeba przeorać świadomość polityczną społeczeństwa, zasiąść odpowiednie poglądy, a przedewszystkiem niewęczyć chwasty, którei obrośla świadomość narodu. Z tą myślą przystąpiłem do wydawania moich dwutygodników. Ze względu na warunki cenzuralne nie mogłem stormulować pozytywnego programu, lecz przeprowadzałem program niepodległościowy przez zwalczanie prądów ugodowych bez względu na to w jakich stronnictwach one się przejawiały. Pan Pobóg-Malinowski usprawiedliwia zignorowanie moich tygodników przy pisaniu książki o Narodowej Demokracji tem, że były one nierozpowszechnione. Nie przeczę, że liczba prenumeratorów moich dwutygodników była szczupła, chwiała się od 300 — 700. Było to całkiem naturalne. Zamknięcie przez rząd „Narodu a Państwa” w listopadzie 1907 r., a „Sprawy Polskiej” w końcu grudnia tegoż roku, ujemnie wpłynęło na prenumeratę pisma. Na koncesję, na „Myśl polityczną”, wziętą przez jednego z moich przyjaciół, czekałem ze dwa miesiące. Pismo zostało zamknięte po pierwszym numerze, musiałem dwutygodniki przenieść do Petersburga i w marcu wydałem pierwszy numer „Votum Separatum”. Prenumeratorów miałem mniej, lecz codziennie otrzymywałem liczne listy od tych, którzy składali akces do kierunku ideowego, reprezentowanego przez moje pismo. Od Narodowej Demokracji oddzielił się Związek Narodowo-robotniczy. Najpierw odlamała się jedna jego część, tworząc frakcję niepodległościową, następnie cały Związek. Motywem zerwania z endecją Narodowego Związku Robotniczego była akcja panslawistyczna t. zn. neoslavizm endeci. Od młodzieży polskiej akademickiej, kształcącej się za kordonek i zagranicą, od młodzieży gimnazjalnej z Suwałk i Włocławka otrzymałem adresy. Młódzież zarzewiaćka miała ideowy zaczątek „Narodu a Państwa”.

Otóż pisząc o Narodowej Demokracji książkę stojącą na poziomie poważnych studiów politycznych, należałoby uwzględnić genezę tego stronnictwa, jego wpływy, oraz opozycję w stosunku do jego zasad i taktykę rozłamu dokonywującego się w stronnictwie i charakter tych rozłamów. Lecz kiedy daję na co się może zdobyć, p. Malinowski zdobywa się na wyciągi z materiałów archiwalnych, za co jesteśmy mu wdzięczni. Polemizuję z artykułami odezwaniami sprzed 50 laty, co sprawia wrażenie nieco komiczne. Polemika w książce nie dyskwalifikuje jej, o ile ta polemika jest w sprawie aktualnej. Według p. Malinowskiego, książka moja z „*Przeżyć i Walkę*” w całej literaturze polskiej jest chyba najbardziej „namiętną i polemizną”. Możliwe, że jest namiętna, tylko namiętnie przywiązanie do idei może być motorem w walce politycznej, prowadzonej bezinteresownie, w ciężkich warunkach, często-kroć niemal beznadziejnie. Książka poświęcona przeżytym walkom politycznym musi cytować polityczne polemiki, stąd pierwiastek polemiczny w mojej książce, lecz jest w niej więcej obiektywizmu w charakterystyce prądów i kierunków, niż w książce p. Pobóg-Malinowskiego „Narodowa Demokracja”. Namiętność i polemizność mojej książki nie zmniejsza wiarygodności faktów w niej podanych. W ani jednej z licznych recenzji nie wskazano, bym fakty przeinaczył, ta okoliczność czyni moją książkę materiałem historycznym.

Zamiast odpowiedzi na moje zarzuty czynione jego książce p. Malinowski rozpisal się szeroko o mojej osobie, o tem, że chadzałem odrębnymi drogami i zawsze tych odrębnych dróg szukałem. Nie odrębnych dróg szukałem, lecz wyjścia z ujarzmania do własnego państwa. Nie tylko żandarmi i wojsko rosyjskie stało na drodze, lecz przystosowanie do niewoli naszego społeczeństwa. Drugi tom z „*Przeżyć i Walkę*”, obejmujący okres Wielkiej Wojny, mam zamiar nazwać „W walce z własnym społeczeństwem o niepodległość Polski”.

JAN MUSZKOWSKI

JAK PISAŁBYM PORADNIK DLA BIBLIOTEK?

Książka w Bibliotece. Katalog informacyjny. Praca zbiorowa pod red. Wandy Dąbrowskiej ze współudziałem Jana Muszkowskiego. Poradnik Biblioteczny Warszawskiego Koła Związku Bibliotekarzy Polskich. Z zastrzeżeniem W. R. i O. P. Warszawa 1934. Nakł. Polsk. Tow. Wydawców Książek i Związku Księgarzy Polskich. 8° s. XXXI, 689, skorowidze s. 77.

JAK PISAĆ NIE NALEŻY

Prace bibliograficzne mają to do siebie, że w miarę narastania materiału autor staje się jego sługą i niewolnikiem. Każda nowa pozycja, zdobyta nieraz w wielkim trudem, jest misternym ogniem w łańcuchu, przykuwającym do kartoteki tytułów. Postępy pracy wciągają w nią coraz głębiej i głębiej, budząc równocześnie poczucie, że... jest coraz dalej do końca. Materiał przerasta przez głowę, zatapia, dusi, a wraz z nim rośnie świadomość braków, przeoczeń, niedociągnięć, pomyłek. A jednak trzeba przecież nareszcie skończyć i oddać do druku. Może wolno porównać ten stan ze stosunkiem niektórych pisarzy do swoich dzieł: plód wyobraźni staje się w pewnej chwili jakby żywą istotą, obdarzoną własnym, niezależnym bytem, rządzącą się własnymi prawami, którym musi podporządkować się sam twórca. „Wir hängen noch am Ende ab von Kreaturen, die wir machten". Stwierdza to też często w swej korespondencji Gustaw Flaubert. „Trzeba być warjatem — pisze do George Sand o swej niedokończonych powieści *Bo u v a r d e t P é c u c h e t* — żeby podjąć pisanie takiej książki" i nazywa ją stale „un livre absurde", albo nawet „chien de livre", szamocąc się w sidłach, przez siebie samego zastawionych. I w pracach bibliograficznych, początkowy zapał, radość z podjęcia czegoś pożytecznego, entuzjizm pomysłu i inicjatywy przeradzają się często w zwątpienie i niechęć.

Jeżeli więc przedsięwzięcia bibliograficzne należą do zadań najbardziej uciążliwych, znużających i niewdzięcznych, jeżeli są wyklinate przez własnych ojców, — na co nie ma dowodów — pozostawil nawet Karol Estreicher w przedmowa do swych prac i w nieogłoszonej dotąd korespondencji — to czego spodziewać się można od potężnych stryżaszków-recenzentów, których zupełnie usprawiedliwiona nienawiść do książek wogóle jest tradycyjną a nieuleczalną chorobą zawodową? Bo żeby napisać sumiennie i sprawiedliwą ocenę pracy bibliograficznej, należałoby na dobrą sprawę przerobić jeszcze rozleglejszy materiał, niż ten, który w niej został zawarty, odszukać braki, ustalić wady i zalety metody, skonfrontować wyniki z zamierzeniami, określić wartość naukową czy praktyczną. Słowem, podjąć olbrzymi trud, który nie może opłacić się ani moralnie, ani materialnie, skoro jego wynikiem ma być krótki przygodny artykuł. A jednak recenzja musi być napisana — więc co robić?..

Przeogląda się nadmiernie gruby tom, czyta się przedmowę i szuka się jakiejś cechy, która pozwoliłaby spełnić obowiązek sprawozdawcy bez zagłębiania się w gęszce tytułów i odsyłaczy. Najstaranniej weryfikuje się skorowidze. Sprawdza się najpierw własne nazwisko, potem nazwiska przyjaciół osobistych, literackich, politycznych. Są, czy ich niema?... Aha, brak tego i tamtego. Już wszystko jest jasne. Orientacja autorów jest zupełnie oczywista. O tych nic nie wiadzą, o tamtych wiedzą zbyt mało, innych pomijają świadomie. Wyrok gotowy bez przewodni sądowego, który wymagałby zgłębienia istoty zamierzeń i intencji, uwzględnienia charakteru pracy, liczenia się z trudnościami, które mogły być nie do pokonania.

Autorzy i redakcja Katalogu Informacyjnego ułatwili niesłychanie pracę recenzentom. Pozycje bibliograficzne opatrzone są, oprócz adnotacji informacyjnych i oznaczenia stopnia przystępności książek, gwiazdkami, normującymi wartość książki z punktu widzenia potrzeb bibliotek oświatowych.

W kularach Parnasu zawrzało... Cóż za bezprzykładna śmiałość! Grono bibliotekarzy, przybrawszy do współpracy zastęp specjalistów z różnych dziedzin wiedzy i piśmiennictwa, poważa się cenzurować literaturę! Pozazdrościwszy laurów Baedekera, wi, narzuca się na przewodnika w świecie fikcji artystycznej!

Może jednak należałoby się najpierw przekonać, czy robi to istotnie, czy gwiazdki nie mają przypadkiem specjalnego znaczenia w wydawnictwie tego typu, a jeżeli tak, to jakie?... Jaki jest ich cel, jakie usadnienie?... Autorzy podkreślają w przedmowie kilkakrotnie z naciskiem swe dążenie do jak najdalej posuniętego obiektywizmu — czyżby ważyli się na tak grube kłamstwo, ujawnione cynicznie od razu na pierwszych stronicach katalogu?... Coś się tutaj nie zgadza. Trzeba sięgnąć głębiej, sięgnąć — rzecz prosta — do samego katalogu.

Jako współredaktorowi wydawnictwa nie wypada mi występować w roli recenzenta. To też piszę tylko recenzję fikcyjną, która

mogłaby tak wyglądać, gdyby pisał ją człowiek, obeznany z bibliotekarstwem i wzmajemniczony w potrzeby czytelnictwa szerokich mas, nie cofający się przytem przed wysiłkiem przestudowania Katalogu Informacyjnego, oraz wniknięcia w jego założenia, cel i metody.

GENEZA I CEL KATALOGU INFORMACYJNEGO

Od 1929 r. istnieje przy Związku Bibliotekarzy Polskich t. zw. Poradnik Biblioteczny, którego zadaniem jest udzielanie bibliotekom wskazówek, jak mają się organizować, jak chronić i powiększać swe zbiory, jak je porządkować i udostępniać, jak rozszerzać zastępy swych czytelników, jak uczyć ich najwydatniejszego korzystania z lektury. Założona w porozumieniu z Wydziałem Oświaty Pozaszkolnej Min. W. R. i O. P. i utrzymywana częściowo z jego zasilków, ma Poradnik na celu przygotowanie gruntu do realizowania ustawy bibliotecznej, wyczekiwanej z utęsknieniem już od wielu lat przez literatów, bibliotekarzy, wydawców.

Jak wywiązuje się ze swego zadania, świadczy chociażby liczba 1700 blisko bibliotek, które korzystały dotąd z jej usług, i to bibliotek wszelkiego typu, od wielkich zakładów naukowych i instytucji centralnych, aż do skromnych księgozbiorów o kilku dziesiątkach tomów, rozsianych po różnych zakamarkach Rzeczypospolitej. Obok instrukcji, pouczeń, wskazówek, obok wzorowych bibliotek wędrownych (które wzbudziły szczególne zainteresowanie fachowców angielskich), obok znormalizowanych formularzy, pudeł, kartek i t. p. — produkuje Poradnik na zamówienie rozmaite wykazy bibliograficzne. Zapotrzebowania bibliotek dotyczyły albo pewnych działów piśmiennictwa, albo też domagały się wyboru ze wszystkich dziedzin, do utworzenia czy kompletowania księgozbiorów, przeznaczonych dla określonych środowisk (włoskańskie, robotnicze, szkolne i t. p.).

Materiał surowy stanowiły bibliografje bieżące, katalogi księgarskie, czasopisma. Wyboru dokonywano na podstawie autopsji bibliotekarskiej, posługując się przytem wszelkimi dostępnymi ocenami i recenzjami, lub zasięгаяc ad hoc opinii specjalistów. Zestawienia bibliograficzne przebywały następnie próbę życia w praktyce bibliotecznej. Doświadczenia w terenie albo potwierdzały trafność wyboru, albo nakazywały zmiany, uzupełnienia, poprawki. Tym sposobem uzyskiwano niezmiernie ważny probierz krytyczny: współczynnik poczynności książek i oceny, pochodzące od szerokiego ogółu czytelników bibliotek oświatowych.

Ponawiające się coraz liczniej zapotrzebowania na takie wykazy bibliograficzne zrodziły pomysł przedsięwzięcia, które obięłyby możliwie kompletny wybór książek, przydatnych dla tego typu bibliotek. Choć działo tu o zastąpienie doraźnych zestawień literatury jednym wielkim wydawnictwem, obrazującym — z tego punktu widzenia — obecny stan rynku księgarskiego (gdym książki wyczerpane nie mogą tu mieć zastępstwa). Gdy jednak w sporządzanych dotąd wykazach częściowych, zawierających zatem pewien w y b ó r, można było porządować na podawaniu samych tytułów, — rozszerzenie ram bibliografji wymagało najkrótszych chociażby charakterystyk poszczególnych książek, ażeby bibliotekarz mógł się od razu czegoś o nich dowiedzieć i dokonać wyboru przed wystaniem zamówienia do księgarń. Ulegając ponawianym wielokrotnie żądaniom z terenu, postanowiono też kwalifikować książki z punktu widzenia ich poziomu, jako też przydatności w praktyce bibliotecznej.

Wydział Oświaty Pozaszkolnej, który znał dobrze wartość praktyczną wykazów bibliograficznych Poradnika, ponieważ sam z nich często korzystał, poparł projekt tego przedsięwzięcia i wyasygnował pewien fundusz na dokonanie pracy. Organizacje księgarskie, uważając słuszenie katalog za świetne narzędzie propagandy czytelnictwa, sfinansowały nakład.

METODA OPRACOWANIA

Tajemnica świetnego rozwoju bibliotekarstwa amerykańskiego polega na zastosowaniu następującej, bardzo prostej zasady: „Cała ludność kraju składa się z czytelników w stanie potencjalnym — zrealizowanie wszystkich ułajonych możliwości czytelnictwa zależy wyłącznie od doboru lektury, od organizacji biblioteki i od umiejętności jej pracowników. Książki są w Bibliotece po to, aby były czytane — te, które nie bywają przedmiotem zapotrzebowania, są do niczego nieprzydatne. Ani jednej martwej duszy w zasięgu akcji bibliotecznej, ani jednej martwej książki w magazynie!" Krzewienie czytelnictwa jest bowiem podobne do polowania z przynętą. Dobór książek powinien być jak najrozleglejszy, ażeby każdy poziom rozwoju czy przygotowania, każdy odcień smaku, zainteresowania, sposobu myślenia znalazł swój haczyk do polknięcia. W Stanach Zjednoczonych

książka, nie znajdującą czytelników w jednej bibliotece, wędruje do drugiej, trzeciej i t. d. — aż trafi do odpowiedniego środowiska; jeżeli jednak nie przyjmie się w żaden sposób, zostaje złożona w magazynie centralnym, gdzie czeka lepszy czas, nie obciążając mniejszych księgozbiorów, którym nie wolno ustawać ani chwili w pogoni za czytelnikiem.

Chodziło więc i tutaj o jak najszerzy zasięg literatury, ze szczególnym uwzględnieniem czytelnika masowego, którego przygotowanie osiąga przeważnie poziom ukończonej szkoły powszechnej. Książki trzeba było wybrać z zasobów rynku księgarskiego, pomiłając dzieła wyczerpane. Nie jest to rzecz łatwą, gdyż brak u nas bibliografji tego rynku; książki względnie nowe bywają nieraz wyczerpane, gdy znowu wydawnictwa, uchodzące za takie, ukrywają się często w składach księgarskich. Oto pierwsze źródło pomyłek. Ażeby ich uniknąć i by uzyskać materiał do sporządzania notatek informacyjnych, zwrócono się w oparciu o organizację księgarską, do wszystkich wydawców, których adresy dało się zdobyć, o nadysłanie książek, znajdujących się w sprzedaży. Odezwało się ok. stu firm i jednostek, co jest bardzo dalekie od stanu rzeczywistości, nie mówiąc już o tych wszystkich, których nie można było odszukać, lub którzy zaniedbali działalność wydawniczą. Nienależnie mnóstwa wydawnictw, będących w obiegu, stało się przyczyną wielu luk katalogu (tem tłumaczy się np. brak dzieł Adolfa Nowaczyńskiego, na co zwraca uwagę p. Stanisław Piasecki; zresztą przeważająca ich większość należy do książek wyczerpanych, jak wzmiankowana również praca Zygmunta Wasilewskiego o Kasprowiecu). Szkarzo się też na niewymienienie pewnych znanych powszechnie prac zbiorowych o charakterze encyklopedycznym; tutaj przyczyna jest inna: pominięto je, ponieważ budżet roczny przeciętnej biblioteki oświatowej wynosi mało co więcej, niż cena jednego wydawnictwa tego typu.

Po skompletowaniu materiału, który oczywiście nie może być uważany za zupełny i kompletny, przystąpiono do sporządzania notatek informacyjnych. Nie było wątpliwości, że powinni je robić specjalści. Ale specjalści jakiego typu? czy wyłącznie uczeni w piśmie, czy też również fachowcy w zakresie czytelnictwa szerokich mas, t. j. bibliotekarze? Bo jest rzeczą bezsporną, że mała tu coś do powiedzenia jednemu i drugiemu. Wybrano zatem drogę pośrednią: postanowiono zorganizować współpracę tych i tamtych*).

W zastosowaniu do literatury popularno-naukowej zadanie wydawałoby się łatwym; nie było niemi jednak, jeżeli się zważy, iż większość uczonych nie interesuje się wcale piśmiennictwem popularnym swoich gałęzi wiedzy i przeważnie wcale go nie zna; ponadto, obok znajomości przedmiotu, potrzeba tutaj specjalnego wycucia psychiki początkującego czytelnika i potrzeb pracy oświatowej.

Zastrzeżenia powyższe dotyczą w równej mierze specjalistów w zakresie literatury pięknej, t. j. krytyków literackich. Bo najpierw i oni są słabo obeznani z literaturą „życia codziennego", z mniej wartościowych beletrystyka potoczna, która musiała być tutaj uwzględniona w znacznych rozmiarach; następnie zaś przedział pomiędzy feljtonem literacko-krytycznym a notatkami katalogu jest jeszcze większy, niż między oceną pracy naukowej a jej streszczeniem o charakterze informacyjnym.

August Böckh określał wiedzę literacką jako „późnowiedzę poznane". Krytyk ma przed sobą skończony utwór, którego dynamika jest przedmiotem jego badania. Od danego, gotowego obiektu posuwa się wstecz, ku jego źródłom, ku czynnikom, z których powstał, starając się dotrzeć do „sił psychiki twórcy". Na użytek praktyki bibliotecznej potrzebna jest innego rodzaju krytyka, prowadząca swoje badania w kierunku odwrotnym: od utworu do czytelnika. Zagadnieniem podstawowym jest reakcja ogółu na książkę. Krytyk nisze wprowadzić również dla czytającej publiczności, ale jej opinia o krzytkowanym dziele nie obchodzi go wcale. Przeciwnie, on jest prawodawcą, i jego poglądy ma być miarodajny dla tej opinii. I rzeczwiście urabia sądy — ale tylko elity intelektualnej, która czytuje krytyki literackie.

W bibliotekach powinno być miejsce tylko dla książek z v v v c h. Istotnie z v t a n y c h. Pragneliśmybyśmy doprowadzić jak najszerzy ogół do lektury samych arcydzieł, — ale do tego wiedzy daleka droga od elementarza. Masom czytelnicy potrzebna i jeszcze tymczasem nie osadów estetycznych, lecz informacyj i ogólnych wskazówek. Dlatego zastosowano

* Autor notatki w P i o n i e, ukrywający się starannie pod kryptonimem, pomawia autorów katalogu o anonimowość, potwierdzając tem mimowoli moje wywody o sposobie pisania recenzji; pozwalał sobie zwrócić uwagę na s z c z e g ó ł o w y w y k a z w s p ó ł p r a c o w n i k ó w, podany na str. XXVIII—XXI*).

w katalogu ściśle obiektywne adnotacje, oznaczenie poziomu przystępności i wrzeszczu — gwiazdki.

Gwiazdki przy tytułach oznaczają stwierdzony doświadczalnie, lub przypuszczalnie, lecz wyedukowany z praktyki bibliotecznej, stopień poczytności książek w bibliotekach oświatowych. Gwiazdki mają znaczenie tylko w połączeniu z określeniem stopnia przystępności książek.

Innymi słowy, na najniższym poziomie czytelnictwa (I) dobra powieść awanturzysta może uzyskać nawet dwie gwiazdki, na na wyższym (II) — jedną, na najwyższym (III) — żadnej. „Fachowiec" Berenta, o którym upomina się p. Stanisław Piasecki, oznaczony jest drugim stopniem przystępności; jest to daleko ważniejsze polecenie tej książki, niż dwie gwiazdki, umieszczone przy „Zywych kamieniach", zakwalifikowanych do stopnia trzeciego.

Streszczenie informacyjne w połączeniu z określeniem stopnia przystępności i z gwiazdkami znaczą w języku bibliotekarskim co następuje: „Masz to oto, kolego, szereg dzieł pisarza, które znajdują się obecnie w handlu księgarskim. Najpierw przeczytaj adnotację, i staraj się przypomnieć sobie samą książkę (jeżeli ją czytałś); jeżeli jej nie znasz, sięgnij do podręczników literatury, odszukaj recenzje w czasopismach; jeśli tego nie możesz uczynić, lub jeśli ci to nie wystarcza, ulóż listę zakupów według naszych stopni przystępności, opierając się przytem na doświadczeniu własnym; wreszcie, możesz w razie potrzeby korzystać z gwiazdek, o ile już wcale sam wybrać nie umiesz".

W jednym z ostatnich swych artykułów p. Juliusz Kaden-Bandrowski wyraża żal, iż publiczność nie wypowiada się co do książek, które pragnęła czytać. Jest tak istotnie. Dokonywane tu i owdzie ankiety mają charakter przypadkowy i nie dają materiału, na którym można się oprzeć. I oto grupa bibliotekarzy odważyła się przemówić w imieniu najliczniejszego odłamu tej niemiejsz dotąd publiczności. Są jej odbiegają nieraz bardzo znacznie od opinii krytyki literackiej — ale to nie jest wina bibliotekarzy. Zresztą bibliotekarze mogą się mylić, ale czy krytycy literaccy nie mylą się nigdy?... Pomimo swych słynnych, historycznych nieraz pomylek, piastują niekwestjonowane przez nikogo, uprawione stanowisko pośredników pomiędzy światem twórczości a ogółem czytelników-inteligentów. Bibliotekarze aspirują dziś w całym świecie kulturalnym do pośrednictwa między masą czytelniczą a środowiskiem klerków. Współpraca ta, gdyby się mogła utrwalic, miałaby nieobliczalnie znaczenie dla samej literatury, zwłaszcza w epoce „nowego realizmu".

Bibliotekarze stoją zdala od giędy literackiej, wyznaczającej codziennie kursy starych i nowych walorów. Czerpią swoje natchnienie nie z filozoficznych i literackich dyskusji śmietanki intelektualnej, lecz z codziennego obcowania z szarym, niepozornym, ale masowym czytelnikiem. Nie z wytwornym, zblazowanym snobem, znającym wszystko, co zostało napisane w kilku językach, lecz z konsumentem prawdziwym, dla którego jedna przeczytana w porę książka stanowić może o przemole umysłowym.

Kiedy Stefan Żeromski, na parę lat przed śmiercią, był mimowolnym uczestnikiem jakiegoś zajęcia w tramwaju, konduktor wraz z posterunkowym odprowadzili go do komisarjatu w celu wylegitymowania, gdyż nazwisko wielkiego pisarza było im najzupełniej obce. Taki stosunek do literatury polskiej ujawnił się u ludzi, stojących — w mniemaniu 3/4 ludności Rzeczypospolitej — względnie wysoko w hierarchji uposażeń i poziomu umysłowego, a przytem zamieszkałych w stolicy. Bibliotekarze starają się zaradzić takiemu stanowi rzeczy, w miarę skromnych swych sił i żadnych prawie środków. Może zdziałaliby więcej, gdyby klan klerków umiał dbać lepiej o swą pr a w d z i w a, w i e l k a publiczność...

Oto jedno z zagadnień, zasługujących na omówienie w recenzji katalogu Poradnika. Ale jest ich nieskończenie więcej. Stan naszego rynku księgarskiego, jego przerosty i braki; planowość w działalności wydawniczej; luki w literaturze popularno-naukowej; stosunek wzajemny działów piśmiennictwa; prace oryginalne a tłumaczone; potrzeba tłumaczeń i ich wartość; osobliwości wydawnictw seryjnych; typy wydawców; ceny książek i t. p. i t. p. Nie mogą nawet wymienić ich wszystkich, bo piszę wszak tylko recenzję fikcyjną.

Nakładem „Drogi" ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

MYŚLI O NOWEJ POLSCE

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi" zł. 2.50)

J. E. SKIWSKI

D Y S K U S J E

ZNOWU W „SWIETNEJ” FORMIE

Czytelnicy popularnego warszawskiego feljetonisty p. Antoniego Słonimskiego przebąkali o jakiejś „ewolucji” kronikarza „Wiadomości”, o jakimś „poglębieniu”, mówili nawet, że znudziła mu się skatologia, że Słonimski „odmienił” się i to bardzo na lepsze. Wieści były radosne, ale przedwczesne.

Istotnie, odniedawna jego Kroniki tygodniowe były trochę nie powiem lepsze, ale przyzwoitsze. Posępny dowcipniś mówił poważnie, przez co był naturalniejszy i bardziej ludzki. Problematyka diabła wąska, przyrodzona ciasnota horyzontów, ale to już trudno. Mimo tej „choroby przestrzeni” wychodziły spod pióra p. Słonimskiego rzeczy bądźco bądź czytelne, żośne, nieobrzydliwe.

Wszelako idylla trwało krótko. Zaleciał mu znowu ulubiony fetorek dwóch zer. Poskusa silna, jak smak wódki dla alkoholika. Uległ. Bo p. Słonimski skatalogję kocha, lubi, szanuje. Zacerpnął znowu powietrza pełną pierś. Znowu mu ciepło, miło, swojsko. Niepoprawny. W sprawie kolejki zębatej na Kasprowy zobaczył tylko okazję do strzelistej dwuzerowej metafory. Ha cóż, lubi to, dobrze mu z tem. Sprawa gustu jego i redakcji, której podoba się ten styl, ten dowcip, ta „ciężkość”. (Za 10 lat odczytamy w rubryce „10 lat temu”: Antoni Słonimski w ciętych i cierpkich słowach poddał miżdżącą krytykę projekt budowy kolejki na Kasprowy, rozprawiając się energicznie zarówno ze zwolennikami jak przeciwnikami projektu).

Ale co tam Kroniki. Czyta się je dla kałwału. Czasem bawią, czasem brzydzą wulgarnością; nikt ich przecie nie bierze serio.

Ale p. Słonimski pisze w „Wiadomościach Literackich” również recenzje teatralne. To już gorzej. „Wiadomości”, to przecież pismo literackie i, cokolwiek się mu zarzuca, przynajmniej trzeba, pismo redagowane pomysłowo, zajmująco, pismo dla niejednego „miarodajne”. Jakimś fantastycznym kaprysem redakcji sprawozdania teatralne tego literackiego pisma utrzymane są w stylu humorystyki. Tej ponurej humorystyki pana Słonimskiego. A trzeba pamiętać, że p. Słonimski we własnym mniemaniu jest wychowawcą swoich czytelników. Wychowuje i poucza. Ma nawet zapewnione dożywocie w tym fachu, nie jest bowiem do pomyslenia, aby kiedykolwiek p. Słonimski przestał pisać sprawozdania teatralne w „Wiadomościach”, aby redakcja powierzyła ten dział komu innemu. I dlatego tylko podejmuję tę sprawę: przez wzgląd na czytelników, którzy recenzent „Wiadomości” tumani bez żadnych skrępułów i umiaru. Jego literatura pod pozorami łobuzerstwa kryje nieuleczalną manję proroczą.

Do rekordowych nonsensów krytyki teatralnej recenzenta „Wiadomości Literackich” należy obok słynnej recenzji z „Wesela” „z punktu widzenia pacyfizmu” ostatnie sprawozdanie z „Kaloguli” Rostworowskiego. I niech nikt nie mówi, że p. Słonimski napisał tę recenzję „na złość” teatrom czy autorowi. Przenigdy! On tak myśli naprawdę.

Czego dowiaduje się czytelnik z tego sprawozdania? — Ze p. Słonimski nic nie rozumiał ze sztuki, której słuchał przez cały wieczór. To niewiele.

Końcowe słowa Demetriusa, który nazywa Kaligulę „tylko człowiekiem” rozumiał p. Słonimski w ten sposób, że Rostworowskiemu chodziło o przekonanie nas, iż Kaligula, krwawy cesarz, to był w gruncie bardzo sympatyczny facet, a jego otoczenie same dranie i tchórze. Cóż za brak wyobraźni u tego poety! Strzelista swą myśl ilustruje p. Słonimski w ten sposób. „Osobiście bardzo nie lubię odkrywania podobnych prawd (jaka szkoda!). Dzierżynski lubił dzieci, kat Maciejewski hodował kwiatki, a Kürten bardzo lubił swego kota i nawet nigdy go nie rozpruł, żeby zobaczyć co ma w środku”. Kaligula — sądzi p. Słonimski — był w intencji pisarskiej Rostworowskiego właśnie takim Kürtenem, a znakomity pisarz napisał swój dramat poto, żeby pana Słonimskiego o tem przekonać.

Przypominają mi się popularne swego

czasu żargonowe parodje naszych wielkich poetów. Humor ich nie był wybredny. Jednak zachowałem w pamięci parę dobrze uchwycionych zestawień. Tak np. rykerz występuje w parodji jako „konny stójkowy”, kochanek jako „der alfonś”, a kochanka jako „die utrzymanke”. Zabawna jest ta transpozycja wartości ze wzniosłości do pospolitości. Taką mimowolną parodję „Kaloguli” napisał p. Słonimski. Istotnie, to co p. Słonimski pisze o „Kaloguli”, to jest ten „Kalogula”, na którego stać. Wiem, że to feler wzroku i że na to niema rady. Nie sądzę też, by mi się udało przekonać p. Słonimskiego, że nie ma racji. Zal mi tylko jego czytelników i dla nich teraz piszę.

Człowieczeństwo Kaliguli nie jest w koncepcji Rostworowskiego synonimem „dobroci”, ani żadnej t. zw. pozytywnej cechy charakteru. „Człowieczeństwo” to jest skrótowo myśl, że tragedia Kaliguli to zwykła a tylko wyolbrzymiona tragedia człowieka. „Człowiekiem” jest Kaligula nie dlatego, że stać go na jakiś przelotny gest dobroci czy wielkoduszności, ale dlatego, że jego dramata władcy, pisanego wolnością, jest potrosze dramatem nas wszystkich. Między Kaligulą a kimkolwiek z nas niema przepaści, choć, sądząc z pozoru, to potwór, a to zwykli ludzie. Ta umiejtność dojrzania człowieczeństwa w każdym człowieku, choćby to był wyrzutek, zdolność wycucia pod różnorodnością postaci głębokiego pokrewieństwa pożądań ludzkich, zawsze tej samej konstrukcji dramatycznej życia ludzkiego, uginającego się pod ciężarem tych samych w gruncie konfliktów — to ogromna zdobycz psychologii chrześcijaństwa. Chryścijanin nie ma złudzeń co do człowieka, nie wierzy, aby kiedykolwiek zwolili się z grzechu, ale równocześnie widzi w nim zawsze istotę stworzoną na obraz i podobieństwo Boże.

Rozumiem, że ten bieg myśli jest p. Słonimskiemu obcy, a może wysoce niesympatyczny. Ale od czegoż, do licha, jest się krytykiem, jeśli nie, by umieć przeniknąć w świat cudzych myśli i uczuć? Krytyk, który tego „nie uznaje” to niby adwokat nie uznający kodeksu.

Dlaczego dramat Kaliguli jest dramatem ogólnoludzkim? Co za związek pomiędzy krwawymi harcami tyrana, którego sztyletują jego własni ludzie, a życiem zwykłego człowieka?

Związek ten ukazuje się nam z kilku stron. „Kalogula” — to przedewszystkiem dramat wolności. Dramat człowieka, który nie zna żadnych granic, a który ich rozpaczliwie szuka. Kaligula był cesarzem, ale czyż wielu z nas nie przeżywa podobnego dramatu w ramach swego pospolitego życia? Czy położenie człowieka, który nie uznaje żadnych nad sobą praw, który nie znajduje żadnego oparcia moralnego, pragnąc go jednak, nie jest najbliższ pokrewnione z dramatem Kaliguli? Czy cała, tak właśnie dla naszego wieku charakterystyczna, pogoń za ostateczną formułą moralności, na której moglibyśmy się oprzeć i tragicznie nieraz eksperymenty, które podejmujemy, poszukując jej, nie przypominają żywo tego obłąkanego tyrana, szukającego jak ziarnka złota w morzu — kilku prawych i odważnych ludzi w swym najbliższym otoczeniu, tego cesarza, który z radością wita zuchwałę „wara” Regulusa, rzucone mu w twarz wobec zgrai służalców?

A dalej, czy nie podejmuje Rostworowski zagadnienia odwiecznego i ogólnoludzkiego, przedstawiając tak znakomicie tragiczny rozdźwięk pomiędzy jednostką śmiałą, zaborczą, próbującą granic własnej natury, — a otoczeniem, nie rozumiejącem (zupełnie jak p. Słonimski) nic z tego, co widzi? Zgraja dworzan pcha Kaligulę w przepaść. Nie on jest ich tyranem, to oni go raczej tyranizują. Zamiast oporu, zamiast odważnego *velo*, (o to przecie błaga ich każdym gestem, ale chce, by sami to zrozumieli), częstują go plugawą unioznością. Nie pozwolą mu uwierzyć w człowieka, wciąż stawiając mu przed oczyma strachane bydlę.

Kalogula szuka śmierci. Bo Kaligula chce za wszelką cenę uwierzyć w godność ludzką — bodaj za cenę śmierci. Moment kiedy cesarz prowokuje spiskowców do zbrodni i jeszcze poraz ostatni próbuje ich odwagi, wyrывая im znanadza sztylety, które oni przy nim z

ziemi podnoszą, poraz pierwszy spełniając tym gestem jego istotną wolę — tak, to jest moment, na którym trzeba się poznać! Wraz z p. Słonimskim sporo osób na sali nic w tem nie zobaczyły, ale ci, którzy zrozumieli patos tej sceny, odczuli, że mają do czynienia z arcydziełem sztuki dramatycznej.

P. Słonimski pisze tylko recenzje teatralne. Ale kóż zaręczę, że nie zacznie również „bezlitośnie” rozprawiać się z książkami? To możliwe. Na zakończenie tego, może zbyt poważnego, artykułu, załączam dwie imaginacyjne próbki tej historii literatury p. Słonimskiego.

* * *

Flaubert. Madame Bovary. — Historia smutnej pindy z Rouen, która nie wiadomo dlaczego truje się arsenikiem. Ze prowincjonalna lekarzowa miała męża idjotę, to jeszcze nie powód żeby się truć. Mogła poczekać, wkońcu znalazłaby faceta, któryby jej dał „zadowolenie”. Zresztą bardzo współczuję pani Bovary, że trafiała wciąż na tak podłych amantów. Jeden z nich nie zdobył się nawet na to, by jej dać trochę forszy w momencie krytycznym. Tę wstrząsającą historję opisuje Flaubert na kilkuset stronicach. Autor cacka się z różnymi francuskimi matołami, a jedyny przyzwoity i postępowy facet, aptekarz Homais, jest przedstawiony za idjotę. Bardzo nie lubię takich rewelacyj. Może za czasów Flauberta ta powieść miała jakiś sens. Była protestem przeciw zabobonom społecznym, skazującym kobietę na niewolę i poniżenie. Dziś każda pinda śpi z kim chce i nikogo nie obchodzi losy pani Emmy. Główną wadą konstrukcyjną powieści Flauberta jest to, że bohaterka truje się dopiero na ostatnich stronicach.

Prevost d'Exiles. Manon Lescaut. Boy mi mówił, że facet, który napisał tę wzruszającą historję francuskiej zdziury z XVIII wieku był księdzem. Nie jestem entuzjastą kleru, ale muszę tu stwierdzić pewien postęp. Gdyby dziś ks. Choromańskiemu przyszło na myśl napisać taką brechtę, kardynał Kakowski wylałby go nazajutrz z posady. Jestem skłonny podziękować osobiście katolickiemu Bogu za to sympatyczne zrządzenie.

* * *

To są tylko imitacje. Oryginały miałyby naturalnie więcej wyrazu, barwy, życia. Ale przyzna mi chyba sam p. redaktor „Wiadomości Literackich”, że historia literatury p. Słonimskiego wyglądałaby właśnie mniej wycej tak.

BOY W MUNDURKU

„Biblioteka Boya” ma niezaprzeczone zasługi jako doskonała popularyzatorka arcydzieł literatury francuskiej. Jej wydawca a zarazem jedyny (z wyjątkiem Jakóba Wojciechowskiego) wydawany autor jest ofiarnym i dobrym gospodarzem. Ale też ma jedną szczególną pasję: wydaje w książce wszystko, co napisze i przedtem wydrukuje w czasopismach.

Mamy żywo w pamięci piękne pozycje tej, tak wytrwale walczącej z koniunkturą, biblioteki, która w czasach dla wydawcy niezmiernie trudnych wypuściła w świat obok szeregu mistrzowskich tłumaczeń z literatury francuskiej cykl feljetonów Boya, co do których można mieć tysiąc zastrzeżeń, ale którym nie sposób odmówić jednego, że noszą piętno ojcostwa znakomitego pióra.

Nieraz słyszałem w odpowiedzi na zapytanie, czy czytał pan taki a taki artykuł Boya? — „Wprawdzie nie czytałem, ale przeczytałem, bo to przecież za parę miesięcy ukaże się w książce”. Tak dalece publiczność przyzwyczaiła się do tego, że Boy nie oszczędzi wydania książkowego żadnemu feljetonowi.

Jakie niebezpieczeństwa tai w sobie ta pasja, o tem przekonałem się właśnie ostatnio, przeglądając nowo wydany tom recenzji teatralnych Boya p. t. „Reflektorem w serce”.

Słusznie zauważył „Tygodnik Ilustrowany”, że już sam tytuł wzbudza zdziwienie. Skąd ta postawa „z serca do serca” — u Boya? Przywykliśmy, że reflektor przekornej obserwacji tego pisarza skierowany był najczęściej niżej, właśnie manifestacyjnie omijając

„bronzownicze” serce. Ta swoista odkrywczość mogła drażnić pewnych ludzi (owocem tego ideowego podrażnienia „Benjaminek” Irzykowskiego), ale bądź jak bądź, to należy do stylu Boya. A może Boy się zmienił? — Nie, nie zmienił się. Jestto zawsze ten sam Boy, tylko wciśnięty w mundurek, przyglaskany, z nałożonym na pióro tłumikiem.

Mówmy otwarcie. Dopóki Boy pisywał w „Kurjerze Porannym”, nikt go nie krępował. Wypowiadał się jak chciał, nikt mu pióra nie brał na łańcuch. Ale tomik recenzji ostatnio wydanych jest zbiorem feljetonów z krakowskiego IKC, pisma kładącego rękę na autorów nawet tak wybitnych, jak autor niezapomnianych „Flirtów z Melpomeną”. — Rezultat oplakany. Jakże trudno poznać Boya w tych konwencjonalnych wypracowaniach! Najwięcej miejsca zajmują streszczenia sztuk. Dopiero potem, gdzieś na końcu parę nieśmiałych uwag wycedzonych przez zacienione wargi. Boy — na nieśmiało. To ma nawet swój zupełnie specyficzny urok, ale chyba tylko dla smakoszów takich, jak Irzykowski, ale nie dla stałych czytelników Boya. Po takiej np. recenzji z „Rodziny” Słonimskiego można się było spodziewać jakiejś płomiennej dyskusji. Przypuszczam, że gdyby Boy napisał to, co naprawdę czuł i myślał, słuchając tej sztuki, nie zgodziłbym się z jednym zdaniem. Ale wolałbym przeczytać recenzję, z którą się nie zgadzam, niż grzeczne wypracowanie, omasłone nieśmiałym gestem blogosławienstwa. Może tylko w recenzji z „Czwartego do brydża” Grzymala-Siedleckiego uradował Boy okrucy swojej indywidualności, sprowadzając swoją krytykę do sceptycznego, arcy-boyowskiego pytania: wielka historia, że się starzy kilkadziesiąt lat temu po... i? To ma być dramat?

A może Boy poprostu się wypisał? Może nastał w jego twórczości okres snu zimowego, wyjąłowienia? — Wiemy jednak że tak nie jest. Przecież równocześnie z recenzjami w IKC ukazywały się artykuły pełne impetu twórczego (choć w innym niż dawny, a mojem zdaniem, lepszym stylu) w „Wiadomościach Literackich”.

Nie, Boy się nie zmienił, zmieniły się tylko warunki jego pracy. Walka z redaktorami jest poniekąd moją specjalnością życiową, mogę więc o tem mówić swobodnie.

Istnieje u nas zasadniczo wadliwa gospodarka literacka w stosunku do jednostek pisarskich o zarysowanej indywidualności. Nie mówię „wybitnych”, bo wybitność to sprawa rozgłosu, pozycji, marki. Można być pisarzem bez tej rynkowej marki, a posiadać jednak indywidualność pisarską. Otóż polityka większości redaktorów w stosunku do tych jednostek jest komiwojażerska, sklepikarska. Kiedy pisarz staje się znanym, głośnym, wtedy dobrze jest go „mieć w gronie swoich współpracowników”. I tu zaraz zaczynają się praktyki rzezańskie. Pismo ma przecież swoją „linję”, a pisarz ma po tej linii chodzić. Zboczyć mu nie wolno. Redaktorowie zachowują się tu jak głupkowaty trener, który w chwili kiedy sportowiec bierze rozmach do rzutu oszczepem, chwytą go za rękę i powiada: nie panie, rączkę trochę bardziej w lewo, główkę w górę i uśmiechnij się. O ile sportowiec nie rzuci oszczepem w trenera, tylko pocziwie zacznie swą sztukę odnowa, — chybi napewno.

To samo robią nasi redaktorowie. Biorą pisarza dlatego, że jest tem, czem jest, że ma taką a nie inną indywidualność, i równocześnie nie pozwalają mu mieć tej indywidualności. Chcą mieć sam jego rozgłos, samą reklamę, bez tego, co jest jej źródłem i podstawą. Rozumiem, że pisma mają „swoje linje”, że prowadzą pewną politykę, ale w takim razie powinny się orjentować, czy do tej „linji” pasuje ten pisarz, i brać tylko tych, którzy są „jak znalazł”. Ale nalamywanie indywidualności pisarza do potrzeb swojego podwórka, kaleczenie jego indywidualności, dlatego by wywiesić sobie jego głośne nazwisko na szyldzie, równocześnie tłamsząc niezdarną łapą to, co w nim najcenniejsze, — to jest polityka niedorzeczna i barbarzyńska. Sprawa jest zasadnicza i czasby tym reklamarskim metodom redakcyjnym w stosunku do pisarzy raz kres położyć.

CO JEST PRAWDA?

(Jan XVIII, 38).

Nie od dziś wiadomo, że sprostowania rzadko naprawiają błąd, natomiast często wprowadzają nowe powikłania.

Pod tym względem sprostowanie p. Z. T. Krępskiego (por. Pion Nr. 22 „Nie odpowiadam — prostuję”) wierne jest tradycji.

Nie będę odpowiadał na wszystkie punkty sprostowania. Groziłoby to rozwleczeniem dyskusji, bądź co bądź dość specjalnej, do rozmiarów zbyt dużych, jak na tygodnik społeczno-literacki. Zresztą oponent mój w pewnych punktach nie wychodzi poza moje argumenty, przeciwstawiając im poglądy, z którymi już zgóry się rozprawiłem (np. w sprawie stosunku Kościoła do zwierząt). Pewne znówu sprawy załatwia p. K. w skrócie tak arbitralnym, że podjęcie dyskusji staje się nie- -

możliwością (np. zagadnienie prawdy). Wybieram przeto tylko dwa punkty, które, zdaniem moim, nadają się do krótkiej i wyraźnej repliki. W artykule moim „Katechizm dyplomaty” podniosłem pytanie, jak należy tłumaczyć wyrażną sprzeczność pomiędzy poglądami Kościoła wypowiedzianymi w różnych epokach na temat zbawienia innowierców i heretyków. Cytowany przeze mnie dekret „Pro jacobitis” przesądza sprawę w sensie negatywnym, znówu papież Pius IX wypowiada pogląd, że zbawiony może być każdy człowiek dobrej woli, żyjący zgodnie ze światłem, którym go Bóg obdarzył. Co więc jest prawdą? Czy to, że heretyk może być zbawiony, czy to że nie może? Przysnaję, że rozstrzygnięcie tej wątpliwości przez p. K. wprowaowało mnie w zdumienie. Wywody mojego oponenta sprowadzają się do twierdzenia (por. punkt 2 cytowanego artykułu), że Kościół głosząc, iż heretyk zbawiony być nie może, działał pod wpływem pobudek praktycznych, mając na względzie walkę z herezją, t. zn., mówiąc pro prostu, że chciał heretyków „nastraszyć”.

Nie jestem teologiem, ale ośmielam się twierdzić, że to tłumaczenie jest błędne. Cóż ono bowiem znaczy? Znaczy ono ni mniej ni więcej, tylko to, że Kościół w poszczególnych wypadkach może głosić świadomie poglądy błędne, powołując się przytem na swój wysoki autorytet nauczycielski i używając formuły „Kościół naucza niezachwianie” — aby osiągnąć pewne cele praktyczne, choćby ze stanowiska katolickiego bardzo ważne. Przyjęcie tego wytłumaczenia podważa do gruntu powagę wszelkiego orzeczenia kościelnego, wobec którego, gdyby nawet nosiło najbardziej kategoryczną formę, zawsze będzie usprawiedliwione przypuszczenie, że nie jest ono wyrazem prawdy obiektywnej i że zmieni się, skoro tylko zmienią się warunki. Jestem głęboko przekonany, że tak kraincowo pragmatystyczna, a raczej ucylicarystyczna interpretacja orzeczeń Kościoła nie jest zgodna z jego nauką i że mój oponent jest jej nieścismym tłumaczem.

Uznanie zasady, że wolno głosić poglądy błędne dla osiągnięcia celów praktycznych byłoby przyznaniem racji Pilatowi przeciw Chrystusowi, Pilatowi, który zapytał Chrystusa: „Co jest prawdą?” — byłoby to — że użyję wyrażenia Mereżkowskiego — propagowanie jakiejś Ewangelii Pilata. Oto do jakich konsekwencji doprowadziłoby rozumowanie p. K., gdyby uznał je za słuszne.

Druga sprawa, to użyty przeze mnie termin „uniwersalizm a priori”. Zilustruję mój pogląd jednym tylko przykładem. — Jak wiadomo proces uzgadniania pism proroków Starego Testamentu z naukami przyrodniczymi ma długie i zawile dzieje. Człowiekiem, który je w syntetycznym skrócie genialnie przewidział, był św. Augustyn, który też dał dyrektywę na przyszłość, że, cokolwiek przyrodniczy kiedykolwiek dowiodą w sposób niesporny, to musi być zgodne z prawdą bibliijną. Czyż nie jest to najwyraźniej koncepcja „uniwersalizmu a priori”, która, nie wiedząc jeszcze co zostanie dowiezione, już zgóry tę prawdę przyjmuje i głosi, że jest ona zgodna z treścią ksiąg świętych? — To stanowisko ma najdalej idące konsekwencje. Jakbądź rozdzielilibyśmy dziedzinę nauki od dziedzin wiary, niesposób jednak nigdy rozdzielić ich całkowicie. Zapewne, że szereg tajemnic wiary nie podlega krytyce naukowej i przez to ma pozycję w duszach wierzących niezachwlaną. Nie można naukowo krytykować np. dogmatu Trójcy Świętej lub Niepokalanego Poczęcia N. Panny Marji, gdyż to są

zagadnienia, do których kryterja naukowe stosować się nie dadzą. W te dogmaty można tylko wierzyć lub nie wierzyć. Niesposób jednak dowodzić ich słuszności lub niesłuszności.

Ale są inne prawdy, które Kościół przyjmuje i które stanowią podstawę wiary dla wielu ludzi. Do tych prawd głoszonych przez Kościół należy np. olbrzymia dziedzina cudów. Dziś Kościół jest w stosunku do nich pełen rezerwy i krytycyzmu. Nie odrzuca ich jednak całkowicie. Ale nikt nie zaręczy, że krytyka naukowa z czasem swoimi metodami nie wyjaśni wszystkiego, co dotąd tłumaczono cudem. W myśl teorii św. Augustyna trzebaby (rozszerzając jego zasadę z egzegetyki na zakres szerszy) poddać się temu wyrokowi nauki i zrzec się argumentu cudów, tak przecież popularnego i ważnego środka propagandy katolickiej w pewnych zwłaszcza środowiskach. W tym wypadku Kościół też nie głosi żadnej własnej teorii, tylko idzie wślad za zdobyciami nauk przyrodniczych. Słowem we wszystkich kwestiach, gdzie nauka ma coś do powiedzenia. Kościół zgóry bierze w posiadanie całą jej prawdę, która jednak w poszczególnych punktach może być kraincowo sprzeczna z tem co Kościół głosi dzisiaj. Póki nauka nie powiedziała jeszcze ostatecznego słowa, Kościół operuje pojęciem cudu. Porzuci zaś swoje stanowisko, skoro zewnętrzny nacisk do tego go skłoni. Tę właśnie taktykę systematycznego cofania się przed nauką i równocześnie korzystania z jej niepewności, póki się da, nazywam uniwersalizmem a priori, uniwersalizmem, nie występującym z własną doktryną, ale przyjmującym za swoje wszystko to co świat uzna za prawdziwe.

„PRZEGLĄD KATOLICKI”

I ÓSME PRZYKAZANIE

Z artykułu zamieszczonego w „Przeglądzie Katolickim” p. t. Postęp czy pseudo-postęp, pióra p. Romanowskiego dowiadujemy się, że autor wydał książkę, którą p. Suchodolski ocenił ujemnie. Nie moją jest rzeczą wyreczać p. Suchodolskiego i odpowiadać na zarzuty przeciw niemu skierowane. Uczyni to sam, jeśli uzna za potrzebne polemizować z p. Romanowskim.

Mnie w tym artykule co innego zajęło. Najpierw jego dość nieprawdopodobny, nawet jak na „Przegląd Katolicki” poziom. P. Romanowski patrzy z wysoka nietylko na swego krytyka, ale wogóle na całą filozofję europejską. Największych filozofów świata traktuje jak nieuków, wartogłowów i frazesowiczów. Heraklita, Voltaire’a, Marxa, Bergson’a, Brzozowskiego (jak wiadomo, katolika), kwalifikuje p. R. ryczałtem jako twórców „bezwartościowych baśni”. Niema zarów- -

to w innym znówu miejscu czytamy o „jałowej i niedołężnej frazeologii Kantów, Hegłów, Bergsonów, Joelów i Brzozowskich”. Ciarki przechodzą, co za piekielna srogość. Tak surowa ocena filozofji nie wynika przecież z katolickiego stanowiska autora; wiemy, że tymi właśnie filozofami wielokrotnie zajmowali się wybitni myśliciele katolicy. Dziel katolickich o cytowanych przez p. Romanowskiego filozofach, możnaby cytować bez liku. To pomiatanie największemi nazwiskami filozofji światowej nie przypomina ani trochę Newmana, Merciera, Maritaina czy Sertillan- -

ge’a, ale raczej się. Słonimskiego z jego zabawną nonszalancją wobec każdej rzeczy, której nie rozumie. Obaj ci panowie należą do jednej potężnej międzynarodówki.

To jest strona humorystyczna artykułu p. Romanowskiego. Ale jest strona smutna. Oto p. Romanowski, katolik, piszący w piśmie katolickim posuwa się w swoim artykule do ciężkich a bezzasadnych zarzutów pod adresem pisma i osób, które mu są z jakichś tam względów niewygodne czy niesympatyczne. Pismem które p. Romanowski atakuje jest Pion; zapewne główną jego winą jest to, że drukował kilka bardzo ciekawych artykułów p. Suchodolskiego, którego krytyki p. R. nie może strawić.

powieściowe p. Krzywickiej, wziął p. R. za pełną entuzjazmu pochwałę tych eksperymentów.

Nie wszystko jednak możemy wytłumaczyć brakiem inteligencji autora. Znajduje jej jednak dość, by podsuać nam intencje bluźniercze, i wbrew cytowanemu (!) tekstowi wmawiać w czytelnika, że historia święta — to dla Pionu zbiór „anegdotek”.

Ten katolik przedziwnego autoramentu nie waha się autorowi niniejszych uwag zarzucać koleżeństwu z prześladowcami katolicyzmu w Meksyku. O koleżeństwie mojem z tymi, którzy katolików wieszali i mordowali, wspomina p. Romanowski aż dwa razy. Czy wolno zapytać autora tego, bądź co bądź, poważanego oskarżenia, co go upoważnia do takiego twierdzenia i jak godzi w swoim su-

mieniu katolika lekkomyślne i bezzasadne rzucać obelgi z nakazem zawartym w ósmym przykazaniu: nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu? — Sądzę, że w stosunku do katolika i to drukującego swoje prace w organie noszącym w nagłówku słowo „katolicki”, takie pytanie jest zupełnie uprawnione.

Rzecz naturalna, ani Pion, ani żaden z jego współpracowników nie przejmuje się obelgami p. Romanowskiego. Są śmieszne. Jeśli jego artykuł nazwałem smutnym, to tylko dlatego, że świadczy raz jeszcze, jak opłakany jest poziom polskiego katolicyzmu. Szczęściem, od „polemiki katolickiej” typu „Przeglądu” nasze oświecone sfery katolickie odwróciły się już stanowczo.

CZY „FUTURO”?...

Podłożem nowoczesnych prądów literackich, tych, które przeminęły po krótkotrwałym żywocie i tych, które jeszcze bytują i dążą do zastąpienia nibyto martwych i skostniałych form sztuki tradycyjnej formami nowymi, bardziej zgodnymi z duchem czasu, jest przesył kulturalny, swego rodzaju wyrafinowanie. Owe izmy mogą i mają prawo nazywać się nowatorstwami, awangardami, tylko wtedy, gdy punktem ich wyjścia nie jest prosta negacja dawnych form, lecz doskonale ich przetrwanie i przyswojenie. I dopiero z wyrosłego na takim gruncie uczucia niewystarczalności dawnych form ekspresji wywodzą się prawdziwie twórcze uśiłowania nowatorskie. Takie jest: było oblicze prądów nowatorskich zachodnio-europejskich. Punktem wyjścia niektórych naszych rodzinnychizmów było raczej zwykłe naśladownictwo obcych wzorów, niż istotna potrzeba zrodzona z prerafinowania kulturalnego, a stąd ze skłonności do perwersji. Nowodem takiego stanu rzeczy mogą być wiersze Stanisława Młodożeńca¹⁾, jednego z czolowych ogniów reprezentantów naszego przebrzmiałego futurizmu. Wiersze owe (część I i II) powstały w latach 1918—22, w epoce „burzy i naporu”, jak pisze w przedmowie autor, i były drukowane w różnych czasopismach, przeważnie futurystycznych, jak „Nuż w bzuhu” i w innych. I właśnie refleksje, jakie nasuwają się przy czytaniu tych wierszy, zdają się nam odkrywać istotne przyczyny słabości naszego futurizmu (a, przedewszystkiem, problematyczności futurizmu Młodożeńca) i jego lekkiego, nieopłakiwanego zgonu. Cechą tych quasi-futurystycznych wierszy Młodożeńca jest nade wszystko prymitywność lub raczej banalność ekspreji, co można polizczyć tylko na karb prymitywizmu kultury literackiej, lub na karb nie przegryzienia się autora przez pokłady tradycji literackiej. Niektóre strofy robią wręcz wrażenie grafomańskich wycyznow i to w sensie najzupełniej tr a d y c y j n y m. Np.:

„O dzień — ten dzień —
Rozpryskiem krwawy krwawych słońce —
O gdzie — ach — gdzie
Huczących zdarzeń stanie koń?” —
(Przełom)

Futurizm Młodożeńca jest dość dziwnym małżeństwem wyspiańczyzny, tej z Wesela, i ideowej i formalnej (formalnej w sensie językowo-składniowym) i liryki rosyjskiej (Blok, Orieszin). Banalność obrazowania dobitnie nieraz świadczy raczej o tupecie niż o wysiłku autora nad wypracowaniem nowych sposobów ekspresji. Ponizsze naprz. strofy, to przecież nie futurizm, a dość prymitywne wierszopisarstwo:

„Łady dalekie, tafle mórz
i głębin zdradne wykroty
ty ujarzmilś — że jak któż?
Obcej mowy obrotem
— Na duszy polskiej krwawy płat
nizaleś wielki świat — — —
Te cudze morza nasze są
i dzikich dusz zapędy:
tam zrenic Twoich węgle tłą
i duch twój błdzi wszędy” —
(Pieśń o Conradzie Korzeniowskim)

A taki wyjątek z wiersza „Nastrój” niezaczem się nie różni od Krakowsko-młodo-polskich nastrojów:

„Zwróćno twarz — — —
i patrz — — —
Komedję smutków, pani, grasz — — —
patrz tu — w orzy — — — oczodoly —
w białem bielmie dookoła — — —
Pocóż mglą? — — —
Jakis żart? — — —
Z dygocących białych ramion — — —
Smutność ci wydrę pazurami — — —
i wygrzęz ją zębami — — —
Milcz — — —

I gdzież ten futurizm? Chyba w znakach pisarskich, w żywej miejscami rytmice, onomatopejnie i tych niecznych miejscach, gdzie autor dla kontrastu korzysta z czystych nonsensów.

¹⁾ Stanisław Młodożeniec. Futuro-gamy i futuro-pejzaże. Warszawa 1934.

W świetle takiego „futuryzmu” zrozumiałem się staje przejście autora na „Dobrocicki, chłopski wąpół”. Prerafinowanie, wersja futurystyczna nie „wychodziła”, a więc prosta droga prowadzi od prymitywu niezmierzzonego do prymitywu świadomego. Ze motyw niezadowolającego rezultatu poszukiwań na ścieżkach futurizmu odegrał główną rolę w zmianie frontu poetyckiego autora, świadczą słowa poety w wierszu „Wyjaśnienie”:

„Dość już, dość delikatnieć
i pora, że nie jałowięć!
Chamstwo gruchnęło ostatnie
na generalną spowiedź...
„Kulturę” bies wam szychował —
chronięć ten jazzband kulturny —
my do niebieskich pawal
i gnój podniesimy w urnie”...

Nietrudno wprawdzie dojrzeć za temi strofkami Jesienina, ale widocznie poeta znalazł najbliższy swemu temperamentowi rodzaj poetycki, jeśli z taką pasją twierdzi, że „kiedyś słowiki tie ziemię zagarną dla chamskich słów — anielskich pieszczot”.

I możnaby nic nie mieć przeciwko nowym, chłopskim wierszom Młodożeńca, pisanym gwarą, w których najwięcej uwagi poświęcił autor budowie i efektom dźwiękowym, w których onomatopeja gra rolę decydującą jako element kompozycyjny, i które, deklamowane, z powodzeniem mogą epatować miłośników swą chłopskością: gdyby nie programowe celebrowanie tej chłopskości. Takie celebrowanie, choćby w przedmowie, ich „Dobrocickiej” rodzimoci prowokuje do doszukiwania się może nie tyle zapożyczeń i analogii pomiędzy niemi, a ludową poezją rosyjską i wierszami Kolcowa, które z niej wyrosły.

Przykład:
„Wytoczyło się — słonie wielgachne
Wywaliło się — złote nad światem”
(Młodożeniec)

Kolcow:
„Cztó, drienuczij liś, przidumałsia?
Grustju tiómnoju zatumanilsia?”

Na tym koścu rytmicznym oparty jest cały zbyt rozwlekły i niezrozumiały w intencjach poemat o Jasiu Dobrochu. Charakter rytmiczny przytoczonego urywka, jak widać, jest zgodny raczej z duchem języka rosyjskiego. Bardziej polski charakter nosi rytmika innych wierszy. Lecz te są może już nazbyt przeladowane onomatopeją, co przy dłuższych utworach i przy niewybrednym powtarzaniu ciągłe tych samych efektów dźwiękowych działa raczej nużąco. Mówimy ciągle o rytmice wierszy Młodożeńca, gdyż wprawdzie interesująca jest w nich jedynie strofa na dźwiękową. Wiersze te składają się, może naby tak powiedzieć, jedynie z rytmu, wzorowanego na pieśniach obrzędowych, tańczonych ludowych i poezji rosyjskiej, z dźwięków onomatopeicznych i z gwarowych utartych wyrażań i pokrzyków, a opisują zajęcia i rozrywki i obyczaj wsiowe.

Z większej próby sił autora, poematu „Pospiew składany o Jasiu Dobrochu o Zbójju Lichocie i o rudym Mańkucie”, trudno wyłuskać jakiś sens. Niewiadomo od początku do końca o co chodzi.

Możnaby też zająć się bliżej filjacjami, jakie dają się dostrzec w budowie dźwiękowej wierszy Młodożeńca, z wierszykami z zabaw dziecięcych w rodzaju: „Entliczek, pentliczek — czerwony stoliczek”.

Na zakończenie warto przytoczyć urywki z wiersza Wesele, dla zorjentowania czytelnika w charakterze onomatopei Młodożeńca, bo trudno to nazwać poezją:

„Poszła ślina mlaskiem — w oczach
ciemne paski —
— O Jezu — laboga — więcej się podoba.
Til — til — til — na sto mil — fiut —
fiut — fiut — drum — drum — drum —
— bom — bom — Więcej się podoba...
— Jasiecku, kochanie — jak się — co się stanie?
..bom — bom” .. i t. d.
Wł. Sebyła.

NA ŁAMACH PRASY

BUDUJEMY STOLICĘ!

Dwa zebrania dyskusyjne na temat „Wielkiej Warszawy jako stolicy państwa”, zorganizowane przez Radę Grodzką Powiatową Bloku Bezpartyjnego, były nielada ewenementem w naszym życiu społeczno-kulturalnym. I to nietylko dlatego, że szereg świetnych mówców z pośród najbardziej głoszących architektów zobrazowało w sposób znakomity tragiczną sytuację, w jakiej znajduje się Warszawa z punktu widzenia urbanistycznego, oraz apelowało do władz i społeczeństwa o uregulowanie tego palącego zagadnienia, ale dlatego przedewszystkiem, że postawiono na porządku dziennym sprawę niezmiernie doniosłą, w opinii uważaną niemal za pewnik, a w rzeczywistości właśnie w społeczeństwie nie znajdującą istotnego zrozumienia.

„Czy przekażemy potomności wielką wieś — rzucił pytanie prof. T. Tolwiński według relacji Expressu Porannego (p. t. Pałimy Pipidówkę!) — zabudowaną chałupami i budami u podnoża drapaczy chmur i obok pałaców — czy zostawimy miasteczko rozlane bez naczelną koncepcję na olbrzymiej przestrzeni, na której między śródmieściem a peryferiami nie będzie różnic właściwych, żadna z dzielnic nie będzie miała właściwego przeznaczenia ani charakteru, czy też zbudujemy Polskę stolicę, godną jej tradycji, a nowoczesnie rozumną?”

Na ostatnie pytanie każdy, nawet stróż małej lepianki z ulicy Karolkowej, odpowie „tak”. Każdy też przechodzień, nie mający pojęcia o zagadnieniach urbanistycznych, wypowie się gorąco za ujęciem w karby roz budowy Warszawy, każdy będzie utyskiwał na ciasnotę naszych ulic, na wężinę naszych placów. Zdawałoby się, że istotnie raczej apelem do władz miejskich i państwowych były zebrania, które tak świetnie zorganizował p. minister Stefan Starzyński, skoro opinia, prasa, społeczeństwo są usposobieni jednomyślnie w tej obchodzącej wszystkich sprawie.

A jednak sens tych zebrań interesujących miał charakter wybitnie społeczny. Uzyskanie ogólnego placet na postulaty teoretyczne jest niezmiernie w tym wypadku łatwe — tam jednak wszędzie, gdzie istniejące prawa mają być stosowane w życiu, gdzie zabytek architektoniczny ma być ochroniony, zabytek kawałki dzielnicy uszanowany, wysokość domu nieprzekroczona, architektura zestrojona z otoczeniem, natrafia się w całej Polsce nietylko na opór i sprzeciw czynników zainteresowanych, ale najczęściej na zupełne niezrozumienie sprawy w społeczeństwie. Czy sto gospodarzy punkt widzenia, praktyczne wyniki budowania, ciasnota i brak pomieszczeń, chęć zatrudnienia bezrobotnych — o to czynnik niezmiernie w naszej epoce ważne, które przysyłają w każdym poszczególnym wypadku interes ogólny, jako dalszy, nienajkonieczniejszy. Każdy wypadek staje się wówczas wyjątkiem, który nie zawazy na ogólnym wyglądzie miasta, przeciwnie, przyciąga się za takiej tezie imputowane są za wszelkie jakieś pobudki abstrakcyjne, nie licząc się z surowymi wymogami życia.

Tak jest — surowe prawa powinny strzec roz budowy naszych miast, zwłaszcza zaś Warszawy, stolicy naszego państwa. Ale prawa te podparte być muszą głębokim zrozumieniem najszerszych warstw o konieczności ich najsurowszego przestrzegania, inaczej będziemy ciągle budować wielką stolicę, a w rezultacie nie wyjdziemy poza roz budowywanie „gubernialnego miasta”.

LITERATURA A PRIORI

Ferdynand Goetel poruszył na łamach Gazety Polskiej („Zawodowi lirycy”) bardzo interesujące zagadnienie: czy literaci w ogóle, a w szczególności poeci liryczni, mogą się uważać za zawodowo stricto sensu. Czy raczej nie należy oczekiwać, że prawdziwi pisarze wywalczają sobie stanowisko w literaturze tkwiąc wszystkimi korzeniami w życiu i jego zawodach praktycznych, czy lirycy mogą dziś na modłę Słowackiego poświęcić się twórczości poetyckiej jako pisarze zawodowi, czy mogą swoje postanowienie zabyć śniąca w poezji uważać za wystarczający powód do wycofania się z wszelkiej innej pracy?

„Przekonanie mówi nam bowiem — pisze Goetel — że ci przyszli pisarze młodej Polski, którzy będą mieli coś do powiedzenia, znajdują się dziś w szarej ludzkiej masie. Może w hali fabrycznej. Może w jakimś zespole pracy, może na dworcu emigracyjnym — czy w samotnej wędrowce przez pustkowi świata. A może przy jakimś wyjątkowym warsztacie jednego z powszechnych zawodów, jakie uprawia inteligencja, zarabiająca swój ciężki kawałek chleba”.

Wydawałoby się, że w ciężkich ekonomicznie czasach, w których literatura popadła bardzo słabo, państwo zaś nie dotuje wystarczających środków na podtrzymanie sił młodych, argumenty Goetla powinny być wyważaniem drzwi otwartych. Jeżeli tak nie jest, jeżeli jesteśmy świadkami szczególnie bujnie rozwijającej literatury a priori, t. j. takiej, która ma dopiero powstać i w imię której młodzięc obiera sobie literaturę jako zawód, to można to sobie wytłumaczyć tylko trudnościami w tych innych zawodach. Niestety literatura nietylko nie zaspokoi pragnień takich wolontarjuszy, ale narazi ich na zawody jak najbardziej przykre.

PO DRUGIEJ STRONIE WAHADŁA

Zawodowe organizacje plastyczne nie uczyniły w latach ostatnich nic godniejszego uwagi dla sprawy reorganizowania sztuki. Jeżeli na tym odcinku w Polsce dokonano wielu pięknych posunięć, to zawdzięczamy to kilku wybitnym organizatorom-plastikom, działającym przedewszystkiem na terenie Instytutu Propagandy Sztuki i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. To też memoriał w sprawie „Izby Plastyki” opracowany przez Związek Zawodowy Plastyków powitać należało jako zdrowy objaw myśli społecznej wśród artystów szczególnie dotkniętych przez kryzys gospodarczy.

Jak to jednak bywa często, akcja tego rodzaju skłonna jest wywoływać przesadne komentarze. Zamiast poprzestać na rozumnym poparciu memoriału i inteligentnym rozwinięciu go, czemu zresztą poświęcił p. Mieczysław Sterling znaczną część swego interesującego artykułu w Kurjerze Porannym, (p. t. „Artyści walczą o prawo bytu dla sztuki”), postanowił autor podkreślić silnie to zdanie z memoriału, które było w nim raczej retoryczną ozdobą, niż ugruntowanym na rzeczywistości zarzutem. „Zdanie końcowe

memoriału — pisze p. Sterling — obnaża najdotkliwszą bolączkę w stosunku władz ministerjalnych do życia artystycznego w Polsce — bezplanowość i dorywczość w popieraniu i subwencjonowaniu osób i instytucji”.

Zdanie to pada w momencie, w którym niezmiernie uszczuplona pomoc państwa dla sztuki skupia się z konieczności na bardzo nielicznych instytucjach i osobach, przy czym, jak wiadomo, z pośród instytucji są to prawie wyłącznie instytucje współpracujące od dawna z ministerstwami w wypełnianiu obowiązków niejako elementarnej konieczności, dotowanie zaś osób, mimo szczupłości środków posiadanych na ten cel, odbywa się zawsze przy współdziałaniu czynników społecznych, przy ściśle uzgodnieniu działalności różnych źródeł subwencyjnych.

To też w epoce ograniczenia subwencji na sztukę do rozmiarów najkonieczniejszej potrzeby, zarzut „bezplanowości” jest o wiele mniej z pewnością uzasadniony od „dorywczowości”, „dorywczość” zaś jest tu chyba tylko synonimem „skromności”, tak jak „systematyczność” w dziedzinie subwencjonowania byłaby najoczywistszym synonimem „obfityści”. Czy więc nie lepiej byłoby za niechać stwierdzeń tak kategoriycznych, a tak niemilosierdnie — głośnych?

Strz.

WYSTAWA JANA WAŁACHA



Orka (drzeworyt)

Jan Wałach

Było to wydarzenie małej wagi. Opowiedziano mi o niem z racji obecnej wystawy w Kamienicy Baryczków; nie próbowałem nawet sprawdzić podanej mi wersji.

Gdy Wałach przybył na studia do Paryża, koledzy z pracowni, szukając, jak było we zwyczaju, rozrywki kosztem nowicjusza, kazali mu wejść na belkę po wysokiej bardzo drabinie, by przez jej odstawienie pozabawić go następnie możliwości powrotu. Niebawem to przeraziło spokojnego słazaka; miał czynić bezplodne wysiłki lub korzyć się wobec swych prześladowców, wyjął z kieszeni szkicownik i pracy poświęcił nie wiele chwilę.

Przygoda ta nie byłaby godną publicznego jej powtarzania, gdyby, dziwnym losów przypadkiem, nie miała stać się ilustracją dotychczasowego życia artysty.

Kazano góralczykowi z Istejnej wspiąć się wysoko po szczeblach studiów artystycznych w szkole zakopiańskiej, Akademii Krakowskiej i największej szkole — w Paryżu. Gdy samodzielnie już począł rozwijać niezwykły swój talent, zabrakło mu tylko jednego — łączności ze społeczeństwem. Jak w swej przygodzie paryskiej odosobniony, bezsilny pracował jednak wytrwale. Doczekał się przecie chwili, gdy dzięki przyjaznym siłom, mógł znaleźć się między nami. A zeszedł z symbolicznej swej belki z tak poważnym dorobkiem, że usprawiedliwił nim zupełnie rzadki pietyzm z jakim wystawę prac jego zorganizowano. Usprawiedliwił też usię nie dłań galerji zbiorów państwowych i wysokie protektoraty.

Lud śląski z Cieszyńskiego jest głównym tematem prac Jana Wałacha; ów gazda Małachowca z lasu, gazdowie Bury i Jurosek z Polanki, Jan Czepczor a Kuba Janoszek, ich żony i dzieci, dobytek wszelaki, prace i obrzędy, przyroda, wśród której żyją, wiara wreszcie poznana i z nich samych zarazem płynąca. Opowiedział nam o tem olówkim lub kredką, pendzlem, czyli też rylcem drzeworytniczym i dłutem. Treść, która kryje w sobie najistotniejsze niezawodnie tajniki jego twórczości, ujęta jest w formę godną,

prostą jak ona i niezmiernie zarazem złożoną, bo niema tam nic niezwykłego, lecz jest coś przez to tembardziej trwałe.

Dziela Jana Wałacha odbiegają całkowicie od często spotykanych studiów etnograficznych, lub nieco pokrewnych im kompozycji malarskich, którym lud zapewnił ma oryginalność, egzotycznością swoich ubiorów i obrzędów. Interesuje go bardziej człowiek, niż strój, nie sama barwność obrzędów wiejskich, lecz ich dramatyczne napięcie. Jakaś „Elzbieta zagapiona”, wspaniała głowa gazdy „z lasu” czy „Polanki”, nie zróznanne zawsze sceny obrzędowe, czyli też proste dojenie krów potwierdza to całkowicie. Nie są to też — wbrew pierwszemu wrażeniu — szkice jedynie i studia, lecz prace dojrzałe, będące same w sobie celem wy starczającym.

Wałach pochodzi z ludu, lecz określenie to oznacza zarazem, że doń już nie należy. Siłą swych tęsknot odrzucony od życia swych przodków, znalazł się w orbicie innego całkiem świata. Lecz odczuwany głęboko związek krwi, przywiązanie do ojczystego zakątka ziemi sprawiło, iż nie mogąc już żyć tak tylko jak jego współbracia, żyje przeciw z nimi, troskami i nadziejami, wielkimi wydarzeniami tego małego świata. Można rzec, iż uzyskał dystans niezbędny do zaobserwowania i zrozumienia jego wartości, a poznawszy zarazem potężną mowę sztuki „wielkiego” świata, stał się łącznikiem między nim, między całą Polską, a rodzimą ziemią cieszyńską.

Nie można należycie zrozumieć twórczości Wałacha, nie znając jego kompozycji o treści religijnej. Powołała je do życia głęboka i szczerą wiarą, stanowiącą mocną podbudowę całego życia artysty, a będąca dziedziństwem pokoleń poprzednich. W pracach tych zdaje się uwydatniać najlepiej rola pochodzenia artysty, które mimo wszystko pozostało trwałe ślad w sposobie jego myślenia. Jest w nich coś z zdrowej, realnie na wszystko patrzącej chłopskiej natury, nie gubiącej się w świecie abstrakcji, lecz z łatwością ujarzmiającej je w formach otaczają-

cego nas życia. Brutalny chwila realizm, męcząca nieomal drobiazgowość z tego samego zapewne wypływa źródła.

„Pięć Rzeczy Ostatecznych” (niebo, śmierć, sąd, czyściec i piekło) wystawionych w Kamienicy Baryczków, aczkolwiek tylko szkicami do polichromji nazwane, są utworami ideowo i formalnie w znacnym stopniu już dojrzałymi. „Śmierć” zwraca uwagę ciekawym swym kolorytem i kompozycją pełną dramatycznego napięcia. „Czyściec” — w szeregu zwłaszcza drugoplanowych i drobnych postaci — kryje grupy świetnie skomponowane i pełne majestatycznej powagi: przemówił tu artysta znający dobrze język sztuki, odgrodzonej od ludowej nazwą sztuki wielkiej. Szkice te nie były robione z myślą o określonym jakimś wnętrzu. Może nie będą nigdy zrealizowane, lecz pomimo to są one przykładami nietylko sztuki religijnej, lecz prawdziwie kościelnej.

Kończąc tę garstkę uwag zaznaczyć trzeba, iż niewiele indywidualność, jaką jest Wałach, uległa zatraceniu, czem groziło mu rozproszenie, lub zgola niszczenie niedocenionych prac. Pokaz przeszedł trzydziestoletni dorobek artysty, który przekroczył już lat pięćdziesiąt, a nade wszystko przystępna do druku monografia doprowadzi, jak sądzę, do należytego wyświetlenia tkwiącego w nim zagadnienia.

Kazimierz Molendziński

CHWYT NIE-WILEŃSKI

Krzyła kiedyś anegdotka o kozaku, który tak dobrze wskakiwał na konia, że go zawsze... przeskakiwał. Anegdotka była wesoła, ale mniej wesoły jest feljeton, który ją ostatnio przypomina.

Tem mniej jest to rzecz wesoła, że co innego jest kozak, a co innego (przynajmniej powinien być) feljetonista, i do tego wileński. Wszakże Wilnianie słyną ze swej dobrej woli i z doszukiwania się dobrej woli u innych. Są wprawdzie podejrzliwi nieraz, ale nigdy lekkomyślni. A p. Wysz, „wybitnie wileński” feljetonista „Słowa” okazał się wybitnie a nieładnie lekkomyślnym.

W numerze 21 „Pionu” zamieściliśmy „Kronikę Wileńską”. Zawierała ona 3 notatki. Pierwsza wspominała o kulcie Śtego Kazimierza na Litwie i przytaczała głosy prasy kowieńskiej w związku z czterysta pięćdziesiątą rocznicą śmierci Świętego Królewicza. Pisał ją stały nasz współpracownik p. Ant. Wiecz. Druga notatka była nadesłanym nam komunikatem Zw. Zaw. Lit. w Wilnie w sprawie celi Konrada. Trzecia była fragmentem z Przeglądu Prasy, pisanym (o czem możemy zapewnić p. Wysz) przez stałego naszego referenta tegoż działu, warszawianina z krwi i kości. Ustęp ten omawiający artykuł p. Wiltolda Hulewicza, zamieszczony w Kurjerze Wileńskim, — ze względów technicznych przy łamanii numeru, umieszczony został nie w „Przeglądzie prasy” a na str. 12ej.

Zdawałoby się, że to są rzeczy proste. Okazało się, że dla p. Wysz. a i to są sprawy podejrzane.

P. Wysz. najpierw wyraża lekkie podejrzenie, że tę kronikę, zwracając między innymi uwagę na artykuł p. Hulewicza „zapewne” „on sam zrobił” — a potem na całego już nie zapewne ale napewno, kategorię powtarza po kilka razy: „tak pisze Hulewicz o Hulewiczu”.

Jest najpierw podejrzliwy a potem lekkomyślny i... niezbyt taktowny.

P. Wysz. jest ciętym feljetonistą — ale czyż do ciętości konieczne jest podawanie za fakty ustalone własnych faktów i ych podejrzeń?

Rozumiem: walka. Rozumiem: Zaułek! Rozumiem: ciętość i skok jaguara! Ale poco zaraz skok kozaka poprzez konia?

Takich kozackich szkół jazdy dotychczas w Wilnie nie znaliśmy. „Słowa” Mackiewicz przy największej nawet ciętości brzmiało zawsze elegancko i mocno siedziało w siodle. Skądże ta kozaczyzna?

— Nie! — ten chwyt był wybitnie nie-wileński! (a. ch.)

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

Następny, 25-ty numer „PIONU” poświęcony będzie

ADOLFOWI DYGASIŃSKIEMU

i przyniesie m. in.:

nieznaną i niedrukowaną dotąd nowelę Adolfa Dygasińskiego

p. t. „O pocalunek”

o której sam autor na wykazie swych prac zanotował „przepadła w Wędrowcu”, a której rękopis, odnaleziony obecnie przez córkę wydawcy „Wędrowca” i oddany córce s. p. Adolfa Dygasińskiego — p. Wolertowej, został nam przez nią laskawie użycony.

Pozatem numer zawierać będzie: Adolfa Dygasińskiego „Aforyzmy” i „Listy do córki”, dotychczas niedrukowane fragmenty pracy St. Mieczynskiego o Dygasińskim, artykuły Wł. Wolerta, Zofji z Dygasińskich Wolertowej, Kaz. Czachowskiego i M. Radwańskiej.

LISTY DO REDAKCJI

„DARY Z ŁASKI“

Szanowny Panie Redaktorze.
W Nr. 20 „Pionu” z dn. 19 maja r. b. P. Z. Osińska wystąpiła przeciw poniżającemu godność ludzką tytułowi zaopatrzenia ludzi zasłużonych, zwanemu popularnie „darem z łaski”.
Przesłanki autorki są zupełnie słuszne, lecz godzą w próżnię i wyważają dawno otwarte drzwi, gdyż ustawa o darach z łaski nie istnieje już od czterech lat.
Sfery zainteresowane od początku istnienia tej ustawy przykro odczuwały upokorzącą nomenklaturę tego zaopatrzenia i już w 1927 r. na posiedzeniach zarządu Związku Zawodowego Literatów w Warszawie omawiano tą sprawę.
Owczesny Prezes Związku, Wacław Siaroszewski, proponował nazwać to zaopatrzenie „Funduszem Zapomogowym Prezydenta Rzeczypospolitej dla zasłużonych obywateli i ich rodzin”.
W początkach 1928 r. poruszyłem tę rzecz w prasie („Epoka”), a następnie interwenjowałem osobiście w trakcie debat budżetowych w Sejmie u generalnego referenta budżetu prof. Krzyżanowskiego, aby zmienić tytuł tej pozycji w budżecie.
Prof. Krzyżanowski zupełnie podzielił słuszną naszą prośbę, oświadczył jednak, że w budżecie tytułu tej pozycji zmienić nie można, gdyż opiera się ona na ustawie z dn. 11 grudnia 1924, musi więc najpierw nastąpić zmiana ustawy.
Sprawa zaś nowelizacji ustawy, to już rzecz trudniejsza, i dlatego przewlekła się jeszcze dwa lata.

Ponieważ jednak nie ustawiliśmy w naszych staraniach, więc wkroczył dopięliśmy celu i na 66 posiedzeniu Sejmu dnia 10 stycznia 1930 r. tenże prof. Krzyżanowski, a na 21 posiedzeniu Senatu z 29 stycznia senator Schreiber referowali zmianę ustawy o darach z łaski, proponując następującą tytułaturę:

„Ustawa o zaopatrzeniu osób szczególnie zasłużonych oraz o wyjątkowym zaopatrzeniu nie opartem na innych tytułach prawnych”.

Obie Izby bez dyskusji i bez protestu przyjęły tę nomenklaturę i nowa ustawa już pod tym tytułem ukazała się w „Dzienniku Ustaw” Nr. 17 pozycja 122 z 1930 r.

Z tą chwilą przestała istnieć ustawa o darach z łaski.

Troska więc p. Osińskiej, jak im (nowym pokoleniom) w nauce o Polsce i Jej ustawach wytlomaczyć istnienie „daru z łaski Pana Prezydenta” dla ludzi zmęczonych wiekiem, a obdarzonych Krzyżem Niepodległości, Polonią Restitutą i t. p.? — jest niestojna, gdyż taka ustawa nie istnieje, o czym wykladowca powinien wiedzieć.

Tyle dla wyjaśnienia faktycznego stanu prawnego.

Rzecz inna, że mało kto wie o tej zmianie, choć upłynęło już od niej cztery lata i zarówno w prasie, jak w potocznym życiu używa się dalej z przyzwyczajenia nie istniejącej już nomenklatury „dar z łaski”, a nawet zwalczą się ją z temperamentem, jak o tem świadczy list p. Osińskiej — choć jest oddawna zwalczona.

Skoro już jestem przy tym temacie przystępuję jeszcze kilka interesujących szczegółów, wyłowionych z preliminarzów budżetowych wszystkich lat ubiegłych, oraz z „Dziennika Ustaw”. A więc ustawa o darach z łaski uchwalona została przez Sejm w dn. 5 grudnia 1924 r. Senat przyjął ją w dn. 11 grudnia tegoż roku. Ukazała się w „Dzienniku Ustaw” Nr. 2 poz. 12 ze stycznia 1925 r.

Sklada się tylko z trzech artykułów.

Art. 1. W wypadkach szczególnie zasługujących na uwzględnienie może być przyznane poszczególnym osobom jednorazowe, czasowe lub stałe zaopatrzenie z funduszy państwowych. Akt przyznania następuje w drodze zarządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej na zasadzie uchwały Rady Ministrów, powziętej na wniosek właściciela tego Ministra za zgodą Ministra Skarbu.

Art. 2. Wykonanie niniejszej ustawy powierza się Prezesowi Rady Ministrów, Ministrowi Skarbu, tudzież innym Ministrom we właściwym każdym zakresie działania.

Art. 3. Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia i obowiązuje na całym obszarze Rzeczypospolitej.

Dokonana w 1930 r. na skutek naszych starań nowelizacja dotyczyła jedynie tytułu ustawy, w niczym nie zmieniając przytoczonej powyżej jej treści która nadal obowiązuje. Uchwalenie w 1924 r. ustawy o darach z łaski było tylko ustawowem uprządkowaniem faktycznego stanu rzeczy, gdyż i w poprzednich latach Skarb wypłacał zaopatrzenia zwane darem z łaski (nomenklatura odziedziczona prawdopodobnie po zaborcach), tylko nie powoływał się przy tem w preliminarzu na żaden tytuł prawny.

O wysokości kwot prelininowanych na

dar z łaski w pierwszych latach istnienia państwa, gdy była waluta markowa, trudno sobie dziś zdać sprawę, bez skomplikowanego przewaloryzowania. Wiemy, że w r. 1919/20 przeznaczono na ten cel 100.000 marek, w r. 1921 — 8 milionów marek, w 1922 — 220 milionów, (przeciętnie po 88 tysięcy marek rocznie dla 2.500 osób), w r. 1923 — 3 miliardy 170 milionów (przeciętnie po 39.000 mk miesięcznie dla 2.500 osób), wreszcie w 1924 r. — ostatnim roku istnienia marki — 7 miliardów 200 milionów marek.

Stan na 1 lipca 1924 r. wykazywał, że z zaopatrzenia tego korzystało 1090 osób. Do końca 1925 r. przewidywano przyrost 100 osób.

Od 1925 r. wkroczyliśmy w okres waluty złotej.

Podaję poniżej tabelkę sum, przeznaczonych na to zaopatrzenie w poszczególnych latach, oraz liczby osób, korzystających z niego, gdy liczba ta jest podana w preliminarzu.

Rok	Suma zł.	Liczba osób korzystających (w przybl.)
1925	217,056	1190
1926	474,344	1364
1927/28	530,000	1077
1928/29	653,980	1206
1929/30	1,250,000	1651
1930/31	1,250,000	
1931/32	1,700,000	
1932/33	1,600,000	
1933/34	1,300,000	
1934/35	1,250,000	

WYSTAWA KSIĄŻKI CZESKIEJ

W warszawskiej Szkole Przemysłu Graficznego im. Marsz. Piłsudskiego (Konwiktorska 2) otwarta została wystawa Książki dla dzieci w Czechosłowacji. Jest to wystawa niewielka, zawierająca zaledwie około dwustu eksponatów, o poziomie dość nierównym.

Przegląd wystawy utrudnia brak jakiegokolwiek racjonalnego ugrupowania zgrupowanych książek, (najbardziejym byłyby tutaj porządek chronologiczny) są one porozmieszczane w gablotkach zupełnie bezpłatnie, co uniemożliwia porównanie się, w linii rozwoju tego rodzaju wydawnictw.

Większość eksponatów, to typ przedwojennej, angielskiej książki dziecięcej. Ilustracje dobrze rysowane (przeważnie plansze barwne), pozbawione jakiegokolwiek indywidualności narodowej. Duża część tych książek przypomina również, podobne wydawnictwa niemieckie. (W jednej z książek znalazłam ilustracje poprostu przedrukowane z książki niemieckiej. Oczywiście, książka tak ilustrowana nie powinna się znajdować na wystawie książki czeskiej).

Sporo miejsca zajmują książki o charakterze nigdy się nie kończących, historyjek obrazkowych (Kulihrasek, Milinek), z rysunkami w typie Walentynowicza. Ładnie wydane są dwie książeczki, o fantazyjnym układzie graficznym (Łakomczuch Tytupan i Tabliczka mnożenia), posiadające rysunki dowcipnie groteskowe, ale wybitnie pozbawione wdzięku, co jest tak charakterystyczne dla grafiki niemieckiej.

Wdzięczne ilustracje w typie angielskim, posiada pięknie wydana (offset) „Bajka o lesie”. Próby ilustracji o charakterze narodowym widzimy w dwu książkach: „Wesołe i osiołek Filuta” i „Trzy opowiadki z nieba”, nie są to jednak rzeczy pod żadnym względem rewelacyjne. Barwne plansze, utrzymane w stylu ilustracji Stryjeńskiej.

Pozatem, wszystkie te książki, noszą wyrażnie piętno owych nieszczęśliwych produktów dla „milusińskich”.

Książka, która na tle tej całej banalności, jest poprostu rewelacją graficzną, jest „Dásenka”. Jest to historia o szczeniaku, ilustrowana doskonale wmontowanymi, autentycznymi fotografiami i posiadająca nadzwyczaj estetyczny i ciekawy układ graficzny. Autorem zarówno tekstu, fotografii i układu jest Capek. Jest to książka nawskroś nowoczesna, a jednak najzupełniej dla dzieci dostępna. Rzecz prześliczna i godna uwagi.

Pozatem korzystnie wyróżniają się jeszcze dwie książeczki, o typie książek sowieckich: „Co może elektryczność” i „Co się dzieje kiedy śpisz?” (zwłaszcza okładka drugiej) oraz okładka „Jedenastki” (książka o sporcie) i „U nas w domu” (ciekawo rysunek dziewczynki).

O wiele lepiej od książki, jest reprezentowana na wystawie prasa dla dzieci. Pisma: „Złota brama”, „Młody świat”, „Harcerz”, „Lipa”, „Nasza republika”, to prasa poważna, nie mająca właściwie nic z „milusińskich”, bogato ilustrowana, odpowiadająca wszelkim zainteresowaniom.

Pozycja darów z łaski mieściła się w budżecie w dziale emerytur i zaopatrzeń, ten zaś dział początkowo należał do budżetu Ministerstwa Skarbu, od 1926 r. zaś został wyodrębniony w osobną część budżetu „Emerytury i Zaopatrzenia” i tam też należy obecnie szukać pozycji, odpowiadającej dawnym darom z łaski.

W preliminarzu na r. 1929/30 znajdujemy wyjaśnienie, że rząd przyznał około 150 darów w przeciętnej wysokości po 150 zł. miesięcznie, pozostałe zaś dary w ilości 627 pochodzą z czasów rządów zaborczych i wynoszą obecnie wskutek deprecjacji przeciętnie po 15 zł. miesięcznie.

W kredytach, prelininowanych w tej pozycji mieszczą się również kwoty na udzielenie emerytom jednorazowych bezwrotnych zapomóg, w wypadkach nie podpadających pod postanowienia ustawy, a zasługujących na wyjątkowe uwzględnienie. Wydatek ten obliczono w r. 1929/30 na 21,000 zł, a w r. 1931/32 na 10,000 złotych.

Referent budżetu emerytur i zaopatrzeń, poseł Wagner, podkreślił w swoim tego rocznym sprawozdaniu, że kwota prelininowana na zaopatrzenie osób szczególnie zasłużonych, jest już teraz całkowicie wydatkowana na przeznaczony cel, gdy w latach poprzednich nie była wyczerpana z powodu rozporządzenia Rady Ministrów, wstrzymującego dalszą wypłatę tych zaopatrzeń.

Ponieważ wielu pracowników pióra sprawy tego zaopatrzenia mogą żywo obchodzić, podalem w tym artykule najważniejsze szczegóły orientacyjne.

St. Czosnowski.

NA EKRANACH

„MISS FLORA“ („Pan“)

Niemiecki teoretyk filmowy Rudolf Arnheim nazwał w jednej z krytyk Anny Ondra — „Busterem Keatonem w spódnicę”. Określenie to mimo pozornej paradoksalności jest trafne, ponieważ vis comica amerykańskiego aktora i czeskiej artystki ma ten sam rodowód, a mianowicie — walkę człowieka z materją, dzieje istoty żywej przesładowanej przez martwe, a jednak działające przedmioty. Oczywiście w finale człowiek odnosi z reguły zwycięstwo, ale zmagania się bohaterów z winnymi zazwyczaj przedmiotami, obdarzonymi jakąś przedziwną zdolnością dokuczania, budzą w widowni śmiech, stanowiąc podłoże komedji.

Ta genetyczna analogia i podobieństwo stylu gry Keatona i Anny Ondra kończy się przy bliźszej i bardziej skrupulatnej analizie. Keaton na ataki materji nie reaguje, zachowując niewzruszony spokój i kamienną maskę, Anna Ondra — jest bardziej wrażliwa, próbuje wydobyć się z zamkniętego koła roztańczonych przedmiotów, nerwowo i nieporadnie wymyka się, strojąc pocieszne miny i grymasy. Ten styl gry osiąga różne stopnie doskonałości — są filmy w których Anna Ondra błyszczy, mając świetny scenariusz i dobrego reżysera, a istnieją również obrzędy, jak „Miss Flora”, w których talent tej jedynej w swoim rodzaju aktorki jest marnowany, lub nieumiejętnie wykorzystany.

„Miss Flora” reżyserji Lamacza należy do kategorii obrazów standardowych i ubogich. Dekoracje są prymitywne, aktorzy, poza odtwórczynią roli tytułowej i dobrym francuskim komikiem Baroux — nieszczęśliwi, a scenariusz i reżyserja — potraktowane bez polotu, byle zbyć. Dochodzi do tej limitacji wad jeszcze zła kopia i fatalne warunki projekcji. Wszystko razem daje obraz niewesoły, którego przesłonić nie może ani bohaterka, ani jej zabawny ojciec-profesor gimnazjalny. Jedyną sceną, w której wygrano możliwości Anny Ondry jest cytowana wyżej wyprawa na strych, dobrze ujęta reżyserjsko i muzycznie. Sceny kameralne zdecydowanie słabe, a ze zbiorowych — najlepsza mowa profesora na otwarciu muzcum. Niżej poziom — kompleks zdjęć dancinowo-hotelowych.

„WYBUCHOWA BLONDYNKA“ („Atlantic“)

Film reżyserji Victora Fleminga zaczyna się z niezwykłym rozmachem. W rytmie tańecznej muzyki przewijają się na ekranie rezultaty pracy szefa reklamy amerykańskiej wytwórni, który „robi” — sławną gwiazdę, Rosną stosy fotografii aktorki, potężniejszą legjonowi wielbicieli i wielbicielek i długim tasiemcem suną kolumny gazet wypełnione opisami skandali z prywatnego życia słynnej Loli Burns. Po tym błyszczącym, świetnie muzycznie i fotograficznie zrobionym wstępie — ukazuje się druga strona medalu — kulisy ekranowej popularności, prawdziwe życie ulubienicy kinowych widzów.

Tempo i tu nie słabnie, film jest nadal nerwowy, rozkrzyczany, roztańczony i przede wszystkim rozgadany. Niema w życiu Loli Burns czasu na romantyczne zadumy, na refleksje i chwile zastanowienia, wszystko płynie z zawrotną szybkością, a niespodzianki przykre i przyjemne, przygody zwykłe i niezwykle defilują na ekranie kierowaną ręką prawdziwego bohatera filmu — mistrza „publicity”, szefa reklamy gwiazdy. Panem i władcą Loli Burns jest szef reklamy, który nie poprzestaje na wykorzystaniu zdarzeń rzeczywiście, ale inscenizuje jeszcze bardzo pomyslowe blufowe historie, byle tylko gwiazda nie przestała być sensacją dnia i nie straciła swej marki u publiczności. Szczytem tej inscenizacji jest romantyczny epizod z życia gwiazdy, wyłączenie raz na zawsze „sex-appealicznej” aktorki z niedopuszczalnych z punktu widzenia interesów wytwórni marzeń o dziecku i małżeństwie.

W „Wybuchowej blondynce” amerykańszczy, który często jest nie do strawienia, znalazł właściwe zastosowanie, a rozkrzyczana i rozgorączkowana atmosfera komedji jest jej najpoważniejszą zaletą. Reżyser Fleming utrafił w dobrą stronę, a dopomogli mu do stworzenia filmu przekonywującego — świetni aktorzy — w miarę wulgarna i bardzo amerykańska Jean Harlow i śmieszny Lee Tracy, jako szef reklamy. Cała zresztą obsada aktorska jest bardzo dobra, że wymienię tu tylko dla przykładu — Franka Morgana (ojciec gwiazdy), Franchot Tone (poeta i kandydat na męża). Technicznie — film na dobrym poziomie. Na specjalną uwagę zasługuje fotografia w scenach romantycznego epizodu (księżycowa noc w Kalifornji). Nadprogram — tygodnik Foxa, doskonała; chociaż stara groteska rysunkowa Disneya i nowy dodatek Szczepaników.

**TANIEJ NIŻ
POŻYCZYĆ
można teraz
KSIĄŻKĘ KUPIĆ
1000 powieści po
zniżonych cenach**

300 tanich książek dla dzieci i młodzieży od 40 gr. do 3 złotych.

**W
KSIĘGARNI M. ARCTA
Warszawa, Nowy Świat 35
P. K. O. Nr 196**

od 6 do 15 czerwca
zamówienia do 25 czerwca

TANI TYDZIEŃ

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19.
Administacja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świącicki
Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Juljan Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10